

Dunav

Anna Waligórska

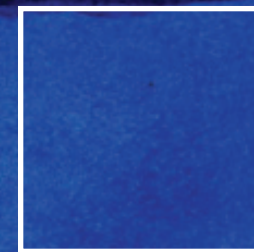
MAŁE



PROZY

Miłosz Waligórski

Anna Waligórska  
M A Ł E



P R O Z Y  
Miłosz Waligórski

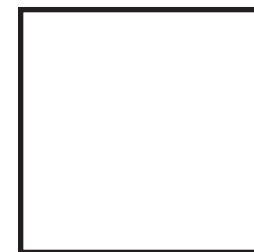
patronat medialny

**BLIZA**  
KWARTALNIK ARTYSTYCZNY



AKADEMIA  
SZTUK  
PIĘKNYCH  
W GDAŃSKU

Anna Waligórska  
M A Ł E



P R O Z Y  
Miłosz Waligórski



AKADEMIA  
SZTUK  
PIĘKNYCH  
W GDAŃSKU

MALE

PROZY

3

„Ech, człowiek... temu nie potrzeba więcej,  
dość, że ma słońce, ziemię, księżyc.

Że widzi, żyje, płacze”.

István Kemény, *Bóg macha ręką*

## spis tekstów:

o co chodzi? .....	9
przed dziady .....	13
burza I .....	15
polska bajka .....	17
przez rzekę .....	19
odlot gęsi .....	21
burza X .....	23
budmerice .....	24
widok z okna .....	31
how to disappear completely .....	33
drone music .....	35
krótka kołdra .....	36
głuchy telefon .....	38
z dolnej półki .....	44
mátészalka, niepamięć .....	45
p/f .....	47
chorążówka 5b .....	56
mima .....	58
ultramaryna w nadirze .....	62
wojwodina na florydzie, stężenie .....	67
ubek .....	72
jawajki świętego pawła .....	74
usta mariana, pyszczyk chomika .....	80
włochy, północniki .....	82
dzień z życia .....	86



bracia czescy .....	89
złot .....	91
polski, pacjent .....	93
klatka z odpustu .....	94
moc życzeń .....	98
białe kwiaty .....	100

## o co chodzi?

„Kula nie jest okrągła, czas nigdy się nie zgadza”.

Był drugi listopada, Zaduszki. Mgła zionęła jak smok, jak wewnątrz Lewiatana. Śnięty wypłynął z gęby potwora (Weöres?, ciepło). Przed dworcem panowała pustka, raptem kilka taksówek. W środku drzemali kierowcy. Za zaparowanymi szybami widziałem ich uchylone usta, przez które wychodziły ludziki. Była szósta rano, bolała mnie głowa, dręczył kac. Pociąg się spóźnił. Wypluł mnie jak nieświeży pomysł na nowy dzień. W przedziale siedział ze mną kosowski Turek i bez przerwy gadał. Z małych buteleczek popijałem piołunówkę i patrzyłem w bok. Raz na okno, raz przez krajobraz, gdzieś bardzo daleko, sam nie wiem gdzie. Nie mogłem nastawić ostrości na teraz i tu. Turek trajkotał, a ja odlatywałem – pionowo, w gładką studnię przeszłości, w której nie znajdowałem żadnych punktów zaczepienia, to znów poziomo, za niewidoczny grzebyk lasu na horyzoncie. Poza czas i poza miejsce. Nie towarzyszyły mi żadne emocje, ani radość, ani ból, ani nadzieja, ani strach. Tylko głęboko pod skórą czułem delikatne drżenie, jakby milisekundy zniknięć i powrotów życia, małe śmierci o wysokiej częstotliwości, wibracje na granicy doświadczenia i złudzenia. W pewnym momencie Turek poklepał mnie w kolano. W drugiej ręce trzymał szklaną kulę. „Zobacz – powiedział – Stambuł”. I rzeczywiście, pod lśnią kopułą zamknięta była makieta miasta. „Powrózę ci, weź i potrząśnij”. Mimo że schwyciłem ją bardzo ostrożnie, wbiłem zamieć, w środku nieprzytom-



nie zawirowały płatki śniegu. „A teraz postaw ją na stoliku, musimy poczekać, aż się uspokoi”. Kiedy zawierucha ustała, przytknął nos do szkła i mruczając coś do siebie, przyglądał się zasypanym domom. Z rozkładu płatków czytał aurę mojego dotyku. Fusy, popioły, linie papilarne, o tym słyszałem, ale żeby wróżyć ze Stambułu?! „Ona będzie chodzić o kulach”, tymi słowami wdarł się w moje zdziwienie. „Kto?”. „Kto?!, kto?!, Hagia Sophia, nie wiem kto, więcej nie widzę”, zdenerwował się. „Daj mi łyka”. Podałem mu małąkę. Za jednym fikołkiem opróżnił ją do dna. Potem przeniósł się pod drzwi, wcisnął głowę w kołnierz i zasnął. Po przekątnej miałem kosowskiego Turka, naprzeciwko wyludnione miasto. Poza tym nic, ciemność. Oddalałem się od domu, jechałem do Nowego Sadu, w którym kilka dni wcześniej została mnie dziewczyna. Ta ciemność gryzła w oczy, więc je zamknąłem. Pod powiekami stanął mi obraz, być może pomieszanie jakichś lektur: w wywrotnej duszogubce (Tolnai?, a może Grendel?) opływam ziemię. Wokół mnie niespokojne oceany, gdzie okiem sięgnąć – ołów i granat, przestwór bez ładu. Wiosłuję co sił, ale moja sytuacja się nie zmienia, przelewam tylko wodę. Samowolne nurty niosą mnie, gdzie chcą. Dryfuję poza swoją historię, nieszczęśliwy, bo los nie jest w moich rękach (a tak pragnąłem dotrzeć na drugą stronę planety, do Wyspy Obcej). Zrywa się burza. Łódeczka się rozpada. Najwidoczniej muszę zginąć, ponieść najwyższą ofiarę. W ostatniej chwili śmiertelne falowanie wyrzuca mnie jednak na brzeg. Eros to Tanatos. Transgresja, Bataille.

Ponosi mnie. Kiedyś zmiataliśmy powódź, kiedyś zapładnialiśmy Bałtyk, a teraz co? Nie mam głosu, nie mam siły. Mogę mówić do jej oka: „Stań się, wodo!” (ha!, kto to?), a ona i tak robi swoje. Ona, czyli kto? Woda? Hagia Sophia? Dziewczyna? Wyspa? Kula? Drzę jak gałki w fазie REM. Budzi mnie ostre hamowanie. Zrywam się i wybiegam na peron. Ledwie zdążam. Mam kaprawe oczy. W Sadzie mgła jak smok, jak wnętrze Lewiatana. Przystaję, biorę oddech i ruszam do akademika. Przed dworcem pusto, raptem kilka taksówek. W środku drzemią kierowcy. Przez zaparowane szyby widzę ich uchylone usta, z których cieknie ślina. Jeden niezdrowo chrapie, drugi charczy. Jest piąta rano, boli mnie głowa, dręczy kac. Nie mam pomysłu na ten dzień. *Rána jsou smutnější než večer...* (Nohavica), nucę sobie, żeby czymś się wypełnić. Idę bladym świtem przez czas alkoholycznego piekła. Po drodze spotykam tylko duchy i bezdomne psy, aż nagle zza rogu wypada na mnie człowiek. To mój uczeń, student języka polskiego. „Dobrze, że pana widzę, Sofija miała wypadek, będzie chodzić o kulę”. „Co? O czym ty mówisz, o co chodzi, o co chodzi?”, mamrocę w zapętleniu. „O kulę, proszę pana, chodzić o kulę. Może pan do niej iść, jest w szpitalu na Hajduka Veljka. Jeszcze rozmawiamy, teraz muszę na autobus, do widzenia”. I znika we mgle. Do pokoju wchodzę jak nietrzeźwy. Na podłodze poniewierają się suche kłaki, brud zbity w kłębki. Na środku leży martwy robaczek, całkiem podobny do mnie sprzed wyjazdu. Kładę się obok niego na drewnianych klepkach podłogi. We włosy

wlatuje mi mucha (Tišma?) i nie może albo nie chce się wyplątać. Może zamierza sobie uwić tutaj gniazdko. Może coś z tego będzie. Może wyklują się młode, uplotą z kurzu łódeczkę i razem popłyniemy z powrotem. Może teraz zasnę, może cofnę czas. Jest drugi listopada, Zaduszki. Mgła jak smok, jak brzuchate wnętrze wieloryba. Za szybą sypie obfity śnieg. Ziemię gęsto kryją grudki. Trudno oddać ich kształt. Chodzi o kule, drobne przesunięcia. Morze.

1 listopada 2012, Nowy Sad

## przed dziady

Między placem Luizy Blahy a placem Franciszkanów ciepłe popołudniowe słońce wydłużało cienie w nieskończoność. Przesadzam, jak zawsze, ale tym razem naprawdę metrami ciągnęły się po splekany asfalcie. Ludzie rośli, było ich jakby więcej, lecz tylko na zewnątrz; w środku chyba stopniowo pustoszeć, przynajmniej tak to czułem – wydrążone miasto, chochołowe miasto, przypominałem sobie dawne lekcje polskiego. Wszyscy przyjaciele wyjechali, jedni do Rumunii, drudzy do Polski, a ja po trzech dniach bezsenności, z pięciem kluczy w kieszeni wracałem od nich do siebie. Z pieczary na ulicy Nefelejcs wlokłem się do lepszego świata, do Budy. W witrynie księgarni przy przystanku zobaczyłem tomik *Homorú versek*, przystanąłem. Akurat podjechała pełna siódemka, więc wciągnąłem brzuch i wymijając resztę, wszedłem do środka, wepchnąłem się „na wklęsłego dziada”. W autobusie panował niemiłosierny ścisk. By nie zasłabnąć pod natłokiem węgierskiej urody i uniknąć syndromu Stendhala, postanowiłem wyłowić z tłumu jedną postać i aż do wysiadki nie odrywać od niej wzroku. Padło na żulę o aparycji Wernyhory. Wpiłem w niego oczy. O dziwo, siedział sam, miejsce obok było wolne, jakby wśród pasażerów nie miał sobie równych. Chował głowę w wysoki kołnierz uslibranego płaszczka i prawie się nie ruszał. Czasem tylko, otworzywszy z sykiem plastikową butelkę z białym winem *csikós*, czyli koniuch, odrzucał łeb do tyłu, usta robił w dziób, wzrok wbijał w sufit, pociągał kilka sążnistych łyków, po czym krył cały majdan gdzieś między warstwami



## burza I

zgrzebnego przyodziewku. Wtedy zaczynał mamrotać, modlić się pod nosem. Najpierw wydawało mi się, że po słowacku, ale to była jakaś mutacja węgierskiego. Wypowiadał nabożne formuły, patrzył w okno, czasem łypał na współpodróżnych, aż wreszcie z murmurando przeszedł w homiletyczny patos, ku górze wznosił szponiaste łapska, siwą czuprynę wysunął wyżej nad kołnierz i już nie mówił, a przemawiał, pokrzykując to na niewidocznych wiernych – duchy po drugiej stronie okna, to znów na nas – żywych. Był zupełnie odświętny, wręcz starotestamentowy. Być może coś wieszczył i złościło go, że nie reagujemy, że jego jasnowidztwa nie bierzemy poważnie albo że znowu przeoczamy koniec świata. Myślałem, że wstanie i wyrzucając z grdyki bombę przepowiedni, z hukiem wysadzi nas w powietrze. Bałem się. Na szczęście autobus wspiął się już na górę Gellérta i stanął naprzeciw całodobowego. Kiedy wysiadłem, spojrzałem za siebie i po niewyraźnych ruchach jego gęby wywnioskowałem, że się uspokoił. Przez szybę widziałem, jak z powrotem wciska głowę w czeluści prochowca i wraca do cichej modlitwy.

Następnego dnia poszedłem na cmentarz Farkasrét. Były dziady.

2 listopada 2009, Budapeszt

Trzeci września, pierwsza wojna, salwujemy się ucieczką w kraj luksusu, przez labirynt pięciogwiazdkowego hotelu, windą z trupią muzyką, w górę i w dół, w górę i w dół, aż kręci się w brzuchu, z pianą ściekającą po szyjce butelki, z potem na lustrach, szybkim obciążaniem ubrań przed wyjściem na korytarz, skokiem na ratunek, na bombę w za małe jacuzzi, rzutem na łóżko, z którego zdziczali zgryzamy



## polska bajka

szkarłatny aksamit, biegiem przez włosy, po skórze tłuszczonoj lotionem, w ciała szczipione jak żarłoczne psy, w taniec na szczycie bezpowietrznych ust, gdzie zroszony meszek, pulchna skóra, para, iskry między palcami, w górę i w dół, w górę i w dół, aż do paraliżu, ostatni błysk burzy, krótkie spięcie (ktoś puka do drzwi?, to tak wali serce), jęk i opad z sił, sen głęboki jak przekop do Chin, lot na drugą stronę, gdzie pogodny poranek,

skośna jasność, oddech.

Twój uśmiech.

3 września 2012, Nowy Sad

Dawno, dawno temu, wczoraj i jeszcze dziś rano, za szczęcioma progami, za szczęcioma nożami żyło sobie dwóch braci: Ein i Kabel. Oczywiście kochali się, jak to bliźniacy. Ein cały czas namiętnie palił kozły, Kabel rznął głupa albo spał, ewentualnie czynił libacje, ale Pan nie pił jego wody. Pewnego dnia Ein postanowił zmienić zestaw ofiarny, poszedł do prywatniarza i nabył wołu. Po powrocie gruchnął nim o stos i zażegł ogień tak zawzięcie, jakby właśnie puszczał z dymem całą swoją pieprzoną przeszłość. Bogu spodobała się woń tej ekologicznej kremacji, więc rozsunął kurtynę i odgórnie rzekł: „Ein, w Tobie mam upodobanie! Zaraz poproszę Cię o znajomość!”. Głos jego donośny a powabny obudził Kabla, który gdy tylko zobaczył, co się święci, pozazdrościł bratu dodania Boga do grona przyjaciół. Dlatego krzyknął wniebogłosy: „Panie, przecież to mięso z Biedronki, ochłapy jakieś za trzy trzydzieści!”. Stwórca, usłyszawszy te słowa, postanowił działać sprawnie i zdecydowanie, ale, rzecz jasna, z poszanowaniem reguł demokracji. Szybko jednak pojął, że sprawa jest nierozstrzygalna. Nie pomogły mu endziosy ani wzmożony wysiłek organizacji grassrootsowych, ba, nawet powszechna mobilizacja myśli nie przyniosła efektu. Długo grzmiało nad światem i biły gromy, podczas gdy On, frasobliwy, z głową w chmurach dociekał: „Którego z nich ukarać? Eina za kombinatorstwo czy Kabla za kablowanie?”. Główkował i główkował, aż na Ziemi zapadł zmierzch. Tej nocy Wszechmogący z bezsilności popełnił samobójstwo. Przerosło go własne sumienie. A po-

tem wstał kolejny dzień i bracia jakby nigdy nic znów jęli urządzić swoje popisy. Cwaniak nadal cwaniakował, chcąc najtańszym kosztem wyjść nad ludzi, a donosiciel donosił, tyle że nie Panu Najwyższemu, a Najwyższemu Sądowi, w którym obaj bliźniacy, by uniknąć oskarżenia o nepotyzm, obsadzili Adama i Ewę. W ten sposób sprawiedliwości stało się zadość, ich zdrowe dzieci żyły długo i w ruinie, a po dwudziestu pięciu latach urodziła im się wnuczka Magdalenka, czego oczywiście nie można czytać dosłownie.

Ta Magdalenka, wzorem swoich dziadów,  
nad wartości materialne przedkłada wartości duchowe,  
nad nieślubne dzieci – mężów  
opatrznosciowych, a nad ciasteczka –  
wódkę.

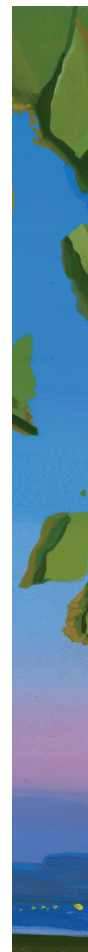
Ponadto ubóstwia się mścić i ma krótką pamięć.

4 czerwca 2014, cała Polska

## przez rzekę (erzsébet híd)

Wydaje mi się, że to miasto najlepiej czuje się jesienią. Wtedy po prostu staje się sobą, niczego nie udaje. Dzisiaj też tak jest – panuje szarówka, dociera w najciaśniejsze zakątki ulic, z wysokości zstępuje masa nimbostratusa, płynnie przechodzi we mgłę, nie zawisa, nie rysuje granic, tylko zsuwa się coraz niżej ku ziemi, napiera na domy, wpycha ludzi między chodnikowe płyty, wciska w oczy milionową drobnicę ciemnych, ledwo widocznych kropelek. Ich gęstwina zamazuje widok.

Byłem na moście Elżbiety, stałem w mlecznym świetle popołudnia, trzydzieści metrów pode mną ocieźzale, jakby przybity pogodą sunął bladoniebieski kolos rzeki, a ja patrzyłem w kierunku prawego brzegu – podświetlone rozproszonym słońcem Wzgórze Zamkowe wyglądało jak szkic do wedyty, wyraźne krawędzie czarno-białym konturem odcinały siwe figury geometryczne od jaśniejszego tła nieba, kreśliły linię demarkacyjną między nieskończonością a płaszczyznami budynków. Ich ostre zakończenia wbijały się w miękkie podbrzusze horyzontu. Miasto pokazywało się w umownym skrócie, w przyjemnym dla oka uproszczeniu. Czasem, kiedy widok zasłania jakiś grożący zawaleniem cumulonimbus i nie wyświecła się kopuła błękitu, czuję, że jest coś pomiędzy, coś, co dzieli mnie na pół. Dzisiaj jednak, w najlepszej z jesiennych aur, gdy ciśnienie spadło tak nisko, że osiągnąłem tę niezwykłą głębię spokoju i w końcu mogłem dokładnie przyjrzeć się znikaniu naddunaj-





skich mew w mroku kanałów, właśnie dzisiaj Ktoś zaserwował mi tutaj Niebo na ziemi – szarówka zlikwidowała wyrwę nad moją głową, szczelnie wypełniła całą przestrzeń, zanegowała dal. Mgławicą kropelek wwierconych w nos i uszy prosto z mostu Elżbiety strzeliście pociągnęła mnie w jasności, w wysokości.

5 listopada 2009, Budapeszt

## odlot gęsi

Nie mogę się dobudzić, a to dopiero czwartek. Już siedzę, lecz obsuwam się na boki, padam na pysk. Nade mną nic rozsnuło pięć pajaków, jakby przez noc przyspieszył czas. Nie widzę tego. Chcę wrócić do świata. Dźwigam się i człapię na balkon. Ale późni. A ja w samej piżamie. Po prawej coś mi świta, a po lewej wciąż jeszcze zaciska powieki. W sumie jest szaro. Kręcę głową, szukam połączenia. Słońce od spodu podszywa się pod chmurę. Ono mi pomoże. Przywiera do podbicia, rozpląszcza się na jasnym zamszu. Czuję, jak światło zatrzymują małe grudki. Jak chropowacieje. Pocieram opuszkami palców o opuszkę kciuka, najpierw lewa ręka, potem prawa. Odzyskuję zmysły. Upiornie kraczą kruki, chociaż w oko wpada mi inne stado ptaków, klucz: cienki i daleki jak drucziana wsuwka, która została po Tobie w łazience, gdzie matowa żarówka suszy gęsią skórkę. Wczoraj mieliśmy rytualny ubój, wczoraj mieliśmy winobranie. Przypominam sobie i już wiem, dlaczego tak głęboko spałem. To mnie budzi. Jest siódma rano. Pora iść do pracy, pomyśleć o przyszłości, marzenia ulokować tam, gdzie jest ich miejsce. Gaszę w domu wszystkie światła. Po omacku odnajduję wsuwkę i wsuwam ją do kieszeni. „Odprowadzę cię trochę”, mówię do siebie, choć w obcym języku. Przed wyjściem jeszcze raz się odwracam. Z dworu przez okno dolatuje już zupełnie nowy dzień. Ruszam mu naprzeciw, lecz nagle przez spodnie w podbrzusze wbija mi się

ta wsuwka.

Syczę z bólu. Nie, to nie ja. To zraniony wąż.  
Złośliwość rzeczy martwych  
wczorajszych kobiet.

6 maja 2014, Nowy Sad

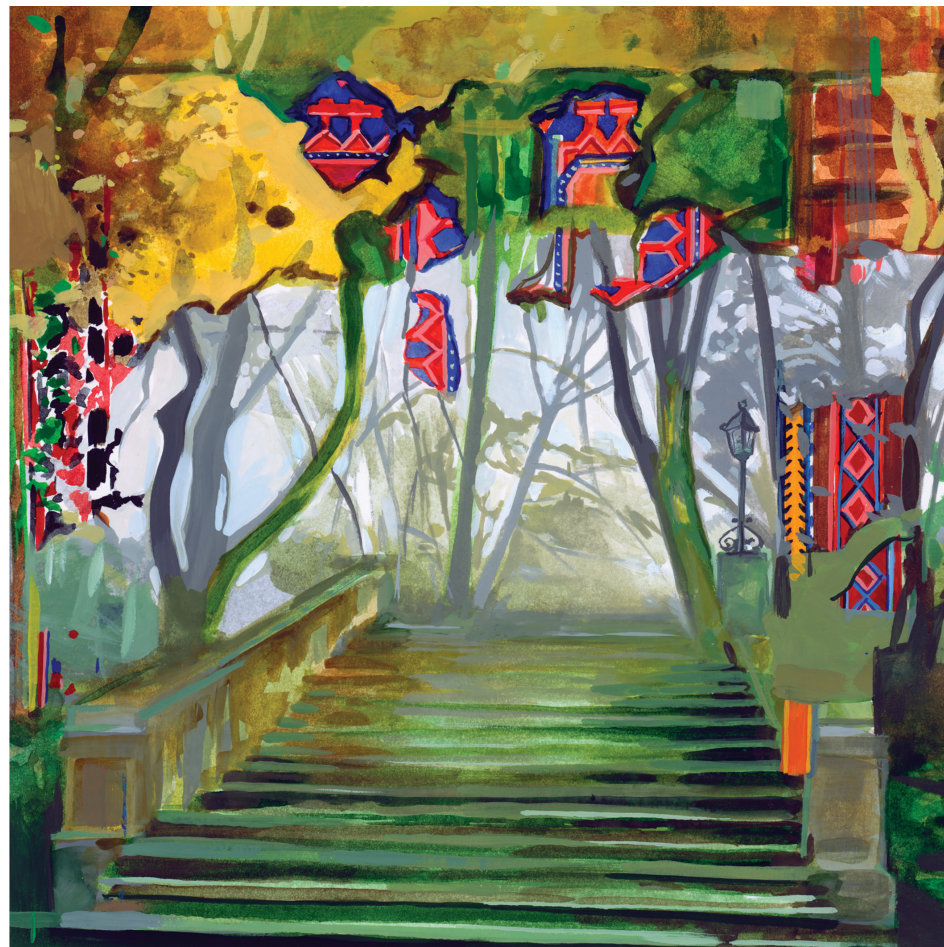
## burza x

Nie, u mnie deszczu nie było i nic nie wskazywało na załamanie pogody. Skąd więc mogłem wiedzieć, że na drugiej półkuli pada? Poprosiłaś tylko o plecak. (Jeszcze nie rozumiałem, że to metafora). Gdybym przeczuł, co się święci, wziąłbym przynajmniej parasol, różę czy jakąś inną szczepionkę na deszcz. A tak – autobusem numer cztery jechałem do Ciebie jak polski powstaniec, bez broni. Na skrzyżowaniu Jevrejskiej i Bulevaru mali Cyganie żonglowali samochodom w twarz. Właściwie to dopiero się uczyli, bo co rusz upadały im piłeczki, których zieleń szybko ciemniała do przedwczesnej starości, pod kołami. Całe życie w jednym podrzędnym zdaniu. Pomyślałem o nas, o długiej erze dziesięciu miesięcy. Kiedy dojechałem, okazało się, że masz walizkę i jesteś już spakowana. (Walizka to też przenośnia: bagaż niepamięci wzięty z szatni od dżentelmena w czarnym fraku). Usiadłem na krześle, Ty mi na kolanach. Z boku musieliśmy wyglądać jak wypaczony iks. Milczałaś, żonglowałaś spojrzeniami. Próbowałem je łapać, ale ciągle mi umykały. Kiedy wprost zapytałem, o co chodzi, zachmurzyłaś się i powiedziałaś: „O nic. Znów będzie burza, muszę iść”, i wyszłaś, a ja zostałem w pokoju, sam, z pustym plecakiem. Wszedłem w niego jak w śpiwór i zasnąłem.


Teraz śpię. Śnię, aż wrócisz.

7 marca 2013, Nowy Sad


Do wsi szło się koślawo wyasfaltowaną topolową aleją. Na mapie miała około kilometra, choć po ziemi toczyła się o wiele dłużej, powoli, jak niegdyś beczki z miejscowym winem niesione w darach przez wieśniaków z Budmeric do pałacyku Pálffyich, gdzie dzisiaj mieści się Dom Pisarzy Słowackich. Wlokłem po niej swoje leniwe litery, a z naprzeciwka wiejskie dziewczyny rozwoziły na rolkach uśmiechy z podtekstem. Po lewej stronie wzdłuż drogi rozciągały się ubogie zagródki, domki z drewnianymi przybudówkami, dla których najpoważniejszym zagrożeniem był codzienny południowo-zachodni wiatr. Istniały tylko dzięki jego łaskawości, skazane na kaprysy podmuchów bez przekonania trzymały się pionu. Ciekawszy widok roztaczał się po prawej stronie, nie był przesłonięty żadną kruchą fasadą, nieoferującą niczego poza perspektywą spektakularnego upadku. Pejzaż po prawej napawał poczuciem stabilności, pełen dumnego dostojęstwa i akademickiej powagi wypinał przede mną pierś odległego horyzontu, raz lekko opartą o poranną lekkość błękitu, kiedy indziej z trudem dyszącą pod zwalistym cielskiem zsiniałych od deszczu cumulusów. Zawsze jednak odważnie wysuniętą w górę. Krajobraz po prawej był starciem dwóch żywiołów, które najzwyczajniej w świecie gwizdały na moją obecność. Dlatego też byłem idealnym obserwatorem tej ponadludzkiej konfrontacji. Z podziwem, ale i wrażeniem nieuniknionej zagłady obserwowałem wciśniętą między powietrze a ziemię sieć telegraficzną, sparaliżowaną w bluźnierczej pozie, osłupiałą własną bezczelnością, za



swoją bezwstydną zakłęta w próchniejące drewno. Obrazoburcza śmiałość tej ingerencji w przestrzeń została sprawiedliwie sponiewierana i wystawiona na pośmiewisko. Żalotne paliki sterczące jak zepsute zęby, wyszczerzone w katatonicznym podnieceniu idioty, gnijące kończyny śmiałka, który targnął się na płótno bezkresu. Słupy, wzięte w dwa ognie, z góry i od dołu, z czasem idealnie sprasuje kreska horyzontu. To upomnienie chcąc nie chcąc tchnęło we mnie



stosowną estymę do boskiego elementu przyrody. Po cichu, by nie gniewać tego, co tam zobaczyłem, próbowałem zapalić papierosa. Zapałki zawodziły. Na tle chwilowo wyciszonych warunków pogodowych zachowywały się zupełnie nie-naturalnie. Chyba nagle przypomniały sobie bosmańską przeszłość swoich przodków zatopionych w Bałtyku razem z pasażerami promu Estonia, bo zapalały się, świszcząc, sycząc, jęcząc niczym wszystkie ofiary morza razem wzięte, ale i łapczywie zachłystując się powietrzem jak ledwo ocaleńcy. Ich SOS oznaczało dla mnie ostateczne bicie w dzwony. Panicznie nimi potrząsałem. Próbowałem przemówić do zapalczanego rozumu, wskrziesić płomienną naturę i tym samym zachować jeszcze cień nadziei. Szarpałem się z nimi, choć udawałem, że nic się nie dzieje, uśmiechałem się głupkowato jak złapany na gorącym uczynku złodziej samochodu, który uparcie twierdzi, że chciał się tylko przejechać. Rumieniłem się zatem, z przerażeniem zerkając w prawo i powoli szykowałem się na najgorsze, bo wiedziałem, co mnie z tamtej strony widnokregu czeka. Zdradzieckie dźwięki w moich rękach zamilkły, nastąpiła cisza przed burzą, schematyczna katastrofa przed efektowną reżyserską woltą z dantejskimi scenami walki, narodzin i śmierci, apokaliptycznymi jeźdźcami burzącymi stary porządek i pierdolnięciem decybeli, podającym w wątpliwość pozornie nieograniczone możliwości akustyczne wszystkich multikin świata. A przecież chciałem tylko zaciągnąć się świeżym marskiem, ostatnim ze słowackich szlugów. Chciałem sobie tylko popatrzeć,



co się święci. Wszystko przez te głupie zapałki. Wiadomo, eksport z Rosji. Czego innego można się było po nich spodziewać? Ruskie zakichane spiczki! A na import tego bzdiewia zgodziły się tylko dwa kraje naszego starego, mądrego kontynentu, jak wół wytłuszczone na pudełku: Słowacja i Bośnia. Dwa ledwo widoczne pacnięcia na mapie. Gdyby nie wojskowe zakłady kartograficzne, dałbym się nabrać, że to nieformalne parkingi dla aut kradzionych na ukraińskie i tureckie rynki bez dna. Mapa świata bezpardonowo je ignoruje, nie wysilając się nawet na pogrubioną, postawioną na ich cześć kropkę. Mapa Europy wprawdzie informuje o ich obecności, ale ucieka się do strzałek i wciśniętych między pełnowymiarowe nazwy niewiele mówiących skrótów SVK i BiH. Terytorium symbolizuje maźnięcie granatowym pisakiem. Kleksowatość jednego goni drugie. Oba jednak bezobciachowo bronią się przed wymazaniem, ba, chcą więcej: uzurpują sobie prawo do miana serca Europy. Jakby serce można było mieć kilka, jak i kilka żyć w grach komputerowych. Na przykład w *Mario Bros.* Ziom niby zupełnie niepozorny, lecz rozpirzony w drobny mak wstaje i wieje dalej za swoim wyśnionym celem. Serducho nawala mu nieprzerwanie i za nic ma zasadę, że utrata życia to zaprzeczenie nieśmiertelności. Bałwan! Chociaż może to jakaś alegoria. Jeden Mario raczy wiedzieć. Może dlatego tak dobrze przyjęto go w Budmericach, uznano go za swojaka, za gościa, który draży skałę, nie bacząc na opór spetryfikowanego losu. Jak skwitowałby to jakiś mądrała od Europy Środkowej: trwa

przy sobie, nie oglądając się na wojska, reżimy i ustroje panujące w okolicy. Te zmieniają się niczym gacie niemowlaka, ale pagórki, zakręty leśnych ścieżyn, sygnaturka kościoła osamotnionego na szczycie ostatniego wypiętrzenia tkwią w swojej nieziennej pozie, zdziwione niebem. Coś jak te wsioki przed budmerickimi *potravinami* albo w knajpie U Bociana, w której mimo że jest luty, wciąż lecą kołеды. Faceci i baby. Siedzą i stoją tylko po to, żeby się nie ruszać, sącą bezkarnie browar za browarem i raz po raz niezrozumiale coś tam mrukną, chyba o czym szumią wierzby. Nowości przyjeżdżają z miasta kilka razy dziennie ichnim pekaesem, ale przecie miasta jak ognia, panie! To szatan wcielony, judasz obyczajów, gangrena zmian, zgnilizna światowych trendów, zgaga po kolorowych sprośnych magazynach i w ogóle! Trza unikać! Ale jak się dobrze przyjrzeć, za zbutwiałymi firankami parterowych chat widać i te świerszyczki, i popcorny, i zajawione pyski wlepione w lśniące muskuły amerykańskich zapaśników wrestlingu, i podbrzusza oślinione bezwstydnymi wywieszonymi językami syczących po niemiecku żmij i jaszczurek wkręconych w taśmy VHS, no i wiecznie młodziutkiego czarno-białego Mario, frywolnie zrzucającego z ekranu stojące mu na przeszkodzie muchomory i truskawki, łudzaco podobne do tych hojnie rozsianych po okolicznych lasach. Science fiction i fantasy wrzucone do jednego gara z kipiącym samogonem, przegryzane kapuchą i peklowanym mięchem. Jednak bimbrowy efekt skonsumowanej mieszanki nie zasiewa w miejscowych

czachach większego spustoszenia niż śliwowica, *borovička*, importowana wódka czy okaleczony przez Unię um. Baniak tętni i żarzy się bólem, ale są sposoby, by go skutecznie ostudzić. Tylko jakby ci z telewizji pytali, to ani mru-mru. My tu skansen, słowacka cepelia, trafieni niedzielnym kazaniem, sianokosy i świniobicie, cykl pór roku, absolutna zwierzchność sołtysa, szlachetność ochotniczych strażaków, remiza jako dobro wspólne, darcie pierza w kolektywie, pieśni rozgrzewające do pracy itd. Nie to co miastowi. Nie, nie, my tu inne ludzie, panie! Tamtejsi to cwane bestie, skąpe i wyrachowane, skumane z Zachodem, Paryżem, Berlinem i innymi siedliskami dekadencji. Tam już nie ma moralności, a nad zgnuśniałą Bratysławą to ponoć niedyskretny zapach burżuazji się unosi, jak mówią ci, co byli i wrócili. Lecz wracają nieliczni. Wsiąkają w ten gnój jak deszcz w snopy wysuszone sierpniem. A tam nierząd i rozpusta, rozkład i gnucie, karły i nierządnice. Słowem: a fe! Ale Budmerice wiedzą. Wiedzą, że fikcja niesie ze sobą rozrywkę, że jest odlepiona, więc chociaż w światło kamery krzykną, że kultura karłowacieje, w cieniu cieszą się wielkim światem, amerykańskim filmem, bratysławskim show-biznesem jak tą rozgrzewającą tutejsze prehistoryczne monitory grą *Mario Bros*. Polaryzacja światów jest tak jasna, że nikomu nie przyszłoby do głowy myśleć o zagrożeniu. Szkło ekranu chroni lepiej niż modlitwa przed niechcianą ciążą. Nawet jeśli i to jest tylko zaślyszane. Jakżeby inaczej: Budmerice wiedzą, gdzie sen, gdzie jawa. A ja stałem mniej więcej na środku Topolowej





i głupkowato lampiłem się przed siebie. Pod nogami strugi przedwczesnych odwilży wystawiały na próbę niczego nieświadome goreteksowe obuwie. Zauważyłem to dopiero po czasie, nietutejszy, zauroczony obrazem pozbawionym industrialnych atrybutów. Boże, jakże Autor tego obrazka mógł w tej chwili śmiać się ze mnie. Jeśli w ogóle mnie widział (choć w tedy w to nie wątpiłem). Zupełnie sfrajerzyłem się na widok tego napuchniętego poletka wypełnionego czymś nieokreślonym. Na górze było niebieskawo. Na dole brunatno, brązowożółto. Spód, który też ze mnie kpił, niemalże pękał w przeoranych szwach. Przerzucił swoją powierzchowność do góry nogami i bawiąc się ze mną w ciuciubabkę, bezwstydnie pokazywał ciemne podbrzusze. W międzyczasie strząsał z siebie niepotrzebne brudy. Oczyszczył skórę jak za magicznym dotknięciem kosmetyków Avon. Śmieci leżały poniżej dolnej krawędzi, przede wszystkim w rowie. Chcąc jak najwierniej odbić ten krajobraz, wyjąłem chusteczkę i siąłem. Siąknąłem?

8 lutego 2006, Budmerice

## widok z okna (nefelejcs utca)

Stoję w kamienicznym mieszkaniu na tyłach VII dzielnicy Budapesztu, z racji gęstości zaludnienia i zabudowy zwanych przed laty Chicago, dzisiaj natomiast słynnych z braku oświetlenia, ciemnych zaułków, piwnicznej stęchlizny, rzygających Chińczyków na zapleczach chińskich jadłodajni, Murzynów pobłyaskujących łańcuchami przed hip-hopowym sklepem, Cyganów handlujących w mroku bram zardzewiałymi piłkami do drewna. Stoję w nocy w dzielnicy burej i bezrobotnej. Nad zimnym piecykiem otwieram dwa podwójne skrzydła. Zapalam papierosa. Palę i patrzę. Naprzeciwko kilka rzędów okien, zgaszone światła, gdzieś zza firany tli się poświata włączonego telewizora. Tamten budynek pamięta czasy, kiedy dzielnica należała do mieszczanstwa z całym bagażem zasad, zwyczajów i gestów. Widzę, jak na rogu ulic Marek József i Nefelejcs panowie w melonikach spod jesiennych peleryn, z satynowych kamizelek wyciągają zegarki z dewizką, otwierają wieczka kopert, porównują cyferblaty, mierzą czas. Nad nierównymi dachami pomarańczowa zasłona chmur, luna. Na ulicy czarny mokry po deszczu asfalt ledwo skrzy się jakimiś niewyraźnymi kolorami, ale ogólnie wszystko wchłania, nic nie oddaje. To na dole. U góry jest jaśniej, jakby dawno temu klisza nieba przyjęła i na zawsze przechowała odbicie śniegu. Negatyw świata sprzed lat. Kwadraty okien zioną pustką jak te trójkąty nad nimi, bodajże tympanony, chociaż takich słów już się nie pamięta. Z piwnic bije wilgoć, nie czuję jej, ale ją sobie wyobrażam, może nawet przypominam.

W mieszkaniach przypadkowi lokatorzy, ludzie przybyli z jakichś odległych krain, z bylekaąd. Są tu tylko na chwilę. Śpią płytko, a ich ekrany czuwają. Będą niebieskawo drżały aż do rana, kiedy zgasi je słońce. Przede mną jednocześnie odbłask wszystkich przeszłych zim i skąpane dzisiejszym deszczem brunatne ulice. Wieczność i chwila. Powtarzalność i jednorazowość. Różnica i bis. Dwie perspektywy za jednym zamachem. Stoję w ramie okna jak w ramie portretu. Drewnięję. Rusza się tylko dym. Smużką z papierosa uchodzi do nieba. Słupek popiołu wydłuża się, w końcu traci sztywność i spada na ziemię.

9 listopada 2009, Budapeszt

## how to disappear completely

(piwiarnia przy avar utca)

Jest tu taki pan. Codziennie można go spotkać w knajpie na rogu. Siedzi na prawo od wejścia, w ręce trzyma pilota, dyryguje kanałami, ogląda węgierskie seriale, pije piwo Złote Asy, pięć, cztery, trzy, ale nie mniej, ma swój mały kufel. Nigdy nie wyciąga portfela, barman donosi mu nowe butelki, bez słowa zrywa kapsel i stawia przy poprzednich. Pan prawie się nie rusza, wstaje tylko od czasu do czasu, idzie do kibla albo znużonym wzrokiem mierzy zawieszony pod sufitem ekran, śliskim spojrzeniem przemyka po innych gościach, kiedy przechodzą obok. Poza tym nie wykazuje żadnego zainteresowania, nawet program w telewizji ma gdzieś, zmienia jedynie ruchome obrazy, które i tak nic nie mówią. Bawi się pilotem. Nieraz się upija i powoli wytacza się z lokalu, zazwyczaj jednak wychodzi tak, jakby te piwa nie robiły na nim żadnego wrażenia. Bywa tu co najmniej od kilku lat, mówią, że od bardzo dawna, dokładnie nie wiadomo. Mało kto go zauważa, po prostu zlał się z krajobrazem tego miejsca, jego ruchy stały się na tyle powtarzalne, że trudno na nie zwrócić uwagę. Kiedy po południu zaglądam do baru i jeszcze go nie ma, wydaje mi się, że Ziemia zboczyła ze swojej orbity i teraz jakimś nowym torem leci w nieznane, zupełnie tracę kontrolę i sterczę skołowaciały z butelczyną w dłoni, dopóki on nie pojawi się w drzwiach. Wtedy znów wiem, że było to tylko złudzenie, że jednak Słońce stoi w miejscu, a my kręcimy się wokół niego po odwiecznie niezmiennej trajektorii. Ten facet po prostu daje poczucie bezpieczeństwa, jest jak przestrzeń, zapętlony wymiar, który

ciągle wyświetla jeden i ten sam obraz, wszystko poza nim ucieka na łeb, na szyję, do tyłu po linii czasu, a on siedzi z pilotem w ręce, ciągle w tym samym niebieskim wełnianym sweterku w serek, ciągle tak samo przeraźliwie chudy, tak samo wąsaty, z tak samo przetłuszczonymi włosami, gwizdże na stragę i przemijanie, wykonuje ciągle te same, sprawdzone ruchy, jakby był górą, która też bez przerwy powtarza tę samą czynność – stoi, siedzi, leży, zwał jak zwał.

Kilka razy o piątej rano jechałem spod tej knajpy na dworzec. Spotykałem go za każdym razem. Był punktualniejszy od zegarka. To on decydował o przyjeździe autobusu, nie rozkład jazdy. Zbliżał się rytmicznym, zwolnionym krokiem, widziałem go z daleka, żółtym tempem schodził z górki do przystanku, a kiedy słupek z numerami autobusów miał na wyciągnięcie ręki, zza zakrętu wyłaniała się sto dwunastka albo ósemka, wsiadaliśmy i razem jechaliśmy kilka przystanków. Wysiadał na placu Franciszkanów, po schodach schodził w przejście i szedł dalej w głąb do niebieskiej linii metra, przygarbiony zstępował pod ziemię, kurczył się w oczach, w końcu całkiem zniknął, a ja jechałem dalej po powierzchni, po prostej jak linijka alei Rákóczi. Jeszcze chwilę zaprzętał mój umysł, ale z czasem czyściłem pamięć, zapominałem, i o nim, i o tym, dokąd zmierzam.

10 grudnia 2009, Budapeszt

## drone music

Rower Dragany zostawiłem przed szkołą. Zawiozłem jej drugie śniadanie: mandarynki, maść na dżiąsła, pompkę do roweru, książkę do metodyki i analgetyk – i z poczuciem spełnienia piechotą ruszyłem z powrotem do domu. Z półprzymkniętymi powiekami szedłem mokrym nabrzeżem jak przez jesienną drzemkę. Dochodziła pierwsza i przez most znowu jechał pociąg. Długi, towarowy, toczył się bez końca i dudnił. Dudnił, aż tętniła ziemia. Dźwięk, który wydawał, był tak rytmiczny, że wręcz jednostajny. I głęboki, i niski jak burdon z dud czy liry korbowej. Trwający. Coś stałego w obliczu nieustannej zmiany. Coś nieustannego. Jak nazwa rzeki wobec nurtu, rozum wobec myśli. Bieg na zachód, żeby się nie cofać. Podróż, żeby umrzeć pod tą samą gwiazdą.

Zrobiłem dobry uczynek,  
brzękła harfa.

Dunaj to mruk rozkazujący.

11 listopada 2013, Nowy Sad

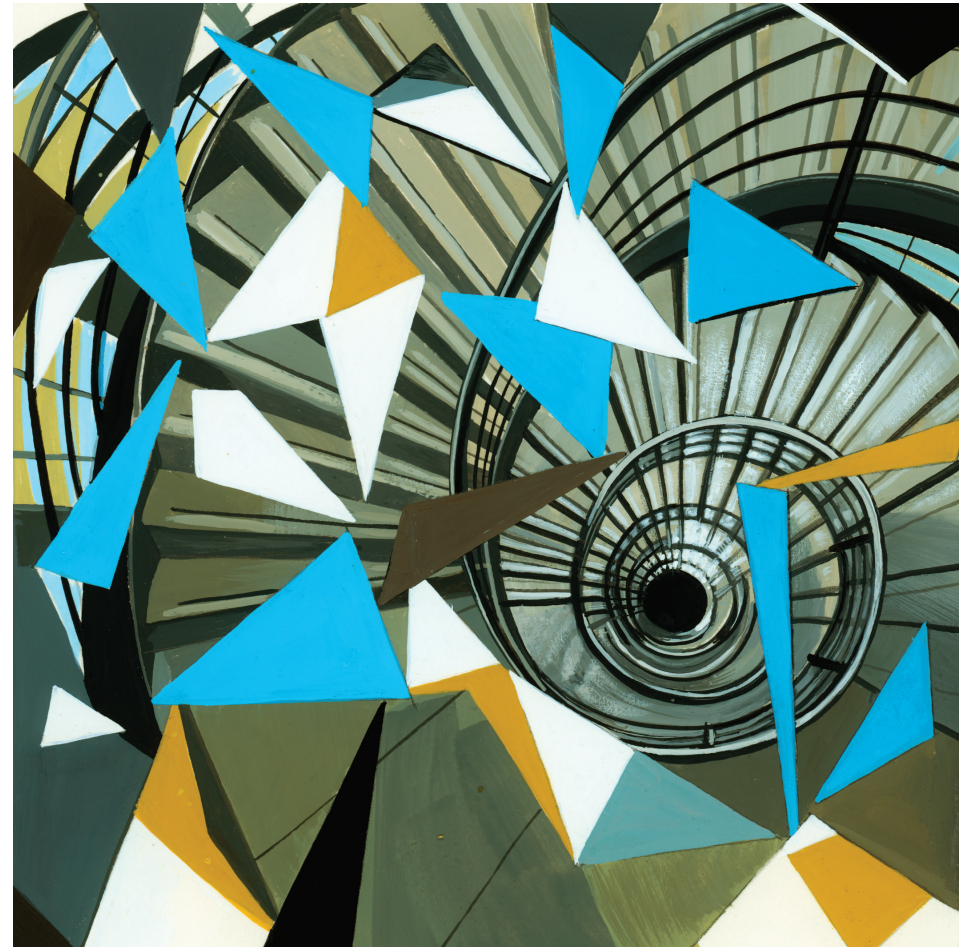
## krótka kołdra

Wczoraj przed snem obejrzałem *Trzeba zabić tę miłość* Morgensterna. Piękny film.

Potem mi się śniło, że do budańskiego mieszkania na Tölgyfa, w którym spaliśmy każde po swojej stronie łóżka, wbiegł pies obwieszony kostkami trotylu. Zanim się pojawił, patrzyłem na nas z sufitu. Zabierałaś mi kołdrę. „Oddaj, zimno”, mówiłem przez sen. Później mój wzrok przeniósł się na zewnątrz, za galerię, między balustrady. Z wysoka widziałem, jak z okien poleciały szyby. Odłamki wzbity się wzwyż, by spadać jak śnieg, lekkie płatki pierza.

Eksplozja w zwolnionym tempie rozniosła wszystko w puch. Właśnie, nie w pył, a w puch.

12 marca 2014, Nowy Sad



Tamtego dnia rano znów spotkałem Cygana z sąsiedztwa. Chudy, żylasty, słownikowy starzec. Czcigodny przewodnik stada, o siwych pasmach w brodzie i przerzedzonej czuprynie. Dopiero potem okazało się, że ma raptem pięćdziesiąt lat. Suchy był. Kiwnął na mnie bez słowa. Myślałem, że chodzi o komórkę, już kilka razy o nią pytał. Czasem musiał wzywać ciężarówkę, a nie miał jak, więc grzecznie prosił o telefon. Dzwonił tu i tam, zewsząd odsyłali go dokądś indziej, głośno powtarzał numery, podczas gdy jeden z jego synów notował je tępym patykiem na ubitej ziemi. Jak to potem odczytywali, nie wiem. Dla mnie były to siwoszare ciągi Kandinskiego, nic mi nie mówiły. Wryte w gumnie hieroglify. A oni widzieli w nich arcylogiczne ciągi Fibonacciego. Ze znanstwem je odszyfrowywali, dzwonili w to ostatnie miejsce, auto przyjeżdżało, ładowali na pakę graty, auto odjeżdżało. Procedura za każdym razem wyglądała tak samo. I za każdym razem się udawała. Tylko raz, pamiętam, był 5 maja, dodzwonili się w próżnię, ktoś podniósł słuchawkę, ale nikt się nie odezwał. Dziwne. Potem jednak wszystko wróciło do normy. Po skończonej rozmowie Cygan zawsze oddawał mi komórkę i uśmiechając się szczerymi szczerbami, życzył miłego dnia. Zarabiał na złomie, jednak miał tego tyle, że sam z transportem nie dałby sobie rady. Jeździł starą kordewicą wyposażoną w przyczepę, solidną, ale i tak za małą na jego potrzeby. Bo przerób miał niezmierny. Harował jak wół. Dzień w dzień widziałem, jak na klepisku depcze puszki, z kąta w kąt przenosi różnokolorowy szmelc,

segreguje odpady. Na Zachodzie dostałby za to order „Ekolog Roku”. Tutaj dostawał po dupie.

Na chodniku pod oknem tego domu od końca lata leżał zielony stanik. Codziennie, idąc do pracy, zastanawiałem się, do kogo należał, jaka jest jego historia. Jaka kobieta go nosiła, kto pomagał jej go zakładać, kto jej go ściągał. A może robiła to sama? Takie nienasycone myśli często odprowadzały mnie aż pod szkołę, gdzie pierzchały pod spojrzeniem surowego gmachu. Stanik. Teraz, jako śmieć, zajmował już tylko moją wyobraźnię. Poza tym był bezużyteczny. Interesowało mnie, czyj był kiedyś, w czasach swojej świetności. Kto wyjmował go z szuflady na bieliznę, wwąchiwał się w krochmalową woń, kto, by zapiąć haftki, tyłem do przodu rozciągał go na żebrach, po czym przekręcał obwód, zakładał ramiączka i nasuwał miseczki. Kto przed włożeniem bluzki przeglądał się w nim w lustrze? Czy była to ta śniada dziewczyna z brzuchem, Koštana, która krząta się po obejściu wśród gromadki dzieci, zawsze z zapalonym papierosem, jakby na stałe przylepionym do suchych warg? Nie sądzę. Więc może anonimowa właścicielka tego domu? Jakaś półwieśniaczka o ambicjach mieszczy. Jej już nie ma, ale zostało parę rzeczy, bujany fotel z podartą tapicerką, nadpalone książki, lektury pleśni, tandetne cacuszka rozbite po podwórzu, stopy rupieci powołane znów do życia przez lepkie rączki Cyganiątek, no i cztery ściany. I wychodek z oblażym tynkiem. Wolno stojący, choć w ruchu, jak wszystko poddający się

działaniu powietrza i braku uwagi. Tylko stanik leżał tam bez zmian, przez cały czas wiernie służąc mojej fantazji. Nikt go nie ruszał, aż do owego dnia. Wtedy znikł, a na jego miejscu zobaczyłem zdruzgotany parasol. Druty sterczały z niego niby kości z czarnej skóry. Jak ptak ze złamanym skrzydłem daremnie usiłował poderwać się do lotu. Marny obrazek. Biustonosz to było oszołomienie i gargantuiczne pragnienia, stado dzikusów biegnących przez rozżarzony chrust, a to – chuda bieda i czcza szamotanina. Phi.

Zignorowałem ten znak, który chciał mi dać do zrozumienia, że kończy się jakiś czas, czyjś czas. Dzień później Cygan i jego rodzina mieli opuścić tę nielegalnie zajętą rudere. Urzędnicy nazwali ich dzikimi lokatorami i nakazali eksmisję. Dlatego mnie przywołał. Stał na chodniku między oknem a tym fatalnym parasolem ubrany w wytartą skórzaną kurtkę, z której wystawał grzebyk. Tak, myślałem, że chodzi o telefon, ale on machnął na to ręką. Chciał się pożegnać, choć ani razu nie użył tego słowa. Na początku w ogóle nic nie mówił, tylko wyciągnął paczkę bestów i poczęstował mnie. „Dzięki, nie palę”, pochwaliłem się. Dziwnie na mnie spojrzał. „A ja osiemdziesiąt dziennie. Jak nie mam, skręcam z tytoniu po petach. Wiesz, prasuję śmieci, więc jest w czym przebierać. Uwielbiam palenie. Żeby zakurzyć, wstaję nawet w nocy. Druga, trzecia, w domu cisza – głową wskazał na zabite dyktami, nieszczelnie zafoliowane okno – wszyscy śpią, a ja się budzę. Nosi mnie. Łażę wte i wewte, szukam choćby niedopałka,

a kiedy znajdę, wychodzę na podwórko i palę. Głęboko się zaciągam, ciało wypełniam dymem. Unoszę się jak chmura. Rosnę. Latam. Mhm, kocham to uczucie! Jeśli mam ich więcej, odpalam jednego od drugiego i ciągnę non stop. Pomyślisz, że płuca mam ze smoły. Nic bardziej mylnego. Raz siostra wzięła mnie do szpitala na badania. Byłem pewien, że już stamtąd nie wyjdę, że będę musiał zostać, póki nie wycisną ze mnie ostatniej kropli tej czarnej żółci. Ale co się okazało? Płuca czyste jak cygańska łza!”, zawył z radości i zarechotał soczyście, eksponując niedobitki dwóch szarych szeregów, szyków pokrzyżowanych w wojnie z nikotyną. Wtedy kolejny raz pomyślałem, że pozory mylą, lecz nie puściłem pary z ust, bo mogłoby mu się zrobić przykro. Pożegnaliśmy się tak, jakbyśmy nazajutrz znów mieli się spotkać. Po kumplowsku poklepał mnie po plecach. O eksmisji ani pisnął. Życzył powodzenia w pracy i podał mi rękę. On – bardzo dziki lokator.

Następnego dnia o 10:04 ojciec przysłał mi esemesa: „Zmarła ciocia Teresa!”. Nie wiedział kiedy. Ani on, ani nikt inny. Ciotka żyła samotnie. Mieszkała w Wągrowcu. Kiedy byłem mały, raz spędziłem u niej ferie zimowe. Spacerowaliśmy po wilgotnym lesie. Odległość, którą pokonaliśmy, wydawała mi się nadludzka. Przeszliśmy pięć, najwyżej dziesięć kilometrów, a ja miałem wrażenie, że pokonaliśmy pół Polski. Z wypiekami na twarzy pisałem o tym później w liście do domu. Długo w noc oglądaliśmy telewizję. 997 Fajbusie-

wicza, kobrę i olimpiadę w Calgary. Dzięki tym seansom dowiedziałem się, kim był Zdzisław Najmrodzki, dzięki nim poznałem Grzegorza Filipowskiego, jego aksle, wzloty i upadki. Miała długie kasztanowe włosy. Pamiętam, jak rozczesywała je miękką szczotką. Delikatnie i w skupieniu. Leżałem przykryty ciężką kołdrą i grzałem stopy o jej stopy. Spaliśmy w jednym łóżku. Była moją matką chrzestną i przez te kilka dni dbała o mnie prawie jak Mamerka. Prawie, bo na więcej mi pozwalała. Karmiła smakołykami, poila słodką herbatą. Dała mi kilka dolarów, za które kupiliśmy w peweksie niebieskie pióro kulkowe i mały samochodzik lego. Zabrała mnie do znajomych. Ich mieszkanie w drewnie na długo zostało moim ideałem dobrobytu. Mieli zachodnie produkty, a w pokoju dziecięcym na półkach stały puszki po niemieckich piwach. Próbowałem je ukraść. Kiedy prawda wyszła na jaw, wybroniła mnie, tłumacząc, że to tylko zabawa. Uczyła matematyki, dzięki niej opanowałem podstawy szachów i to z nią rozegrałem swoją pierwszą i przedostatnią w życiu zwycięską partię. Na bank dała mi fory. Od wielu lat spotykaliśmy się już tylko na imprezach rodzinnych, a ściśle biorąc, na jednym weselu i jednym pogrzebie. Zmarła na początku maja, na serce. Nikt nie wie jak. Pewnie wstała rano, włożyła bambosze własnej roboty (lubiła robić na drutach), poszła do łazienki, gdzie przed lustrem, wpatrzona we własne odbicie, nabożnie czesała siwe włosy. Później w kuchni z pudełka z napisem „Astra” przesypała do kubka łyżkę kawy, wstawiła wodę, spojrzała przez okno. Na skąpanym

w słońcu podwórku między blokami bawiły się dzieci. Słyszała ich pokrzykiwania i niosące się echem uderzenia piłką o beton. Wtedy zadzwonił telefon. Zerwała się, odebrała, ale nic nie powiedziała. Osunęła się na obciążone wełnianym pokrowcem krzesło. Usiadła. Być może z wrażenia. Bo kto wie, jak to jest, kiedy umiera się w samotności. Może zobaczyła kogoś w drzwiach. Może to była śmierć. Nie wiadomo. Puszczona wolno piłka odbijała się coraz szybciej i coraz ciszej jak moneta rzucona na kamienny stół. W końcu umilkła.

Miała siedemdziesiąt lat. Jeszcze się nie pożegnaliśmy.

13 maja 2013, Nowy Sad

Unikaliśmy się już drugi dzień.

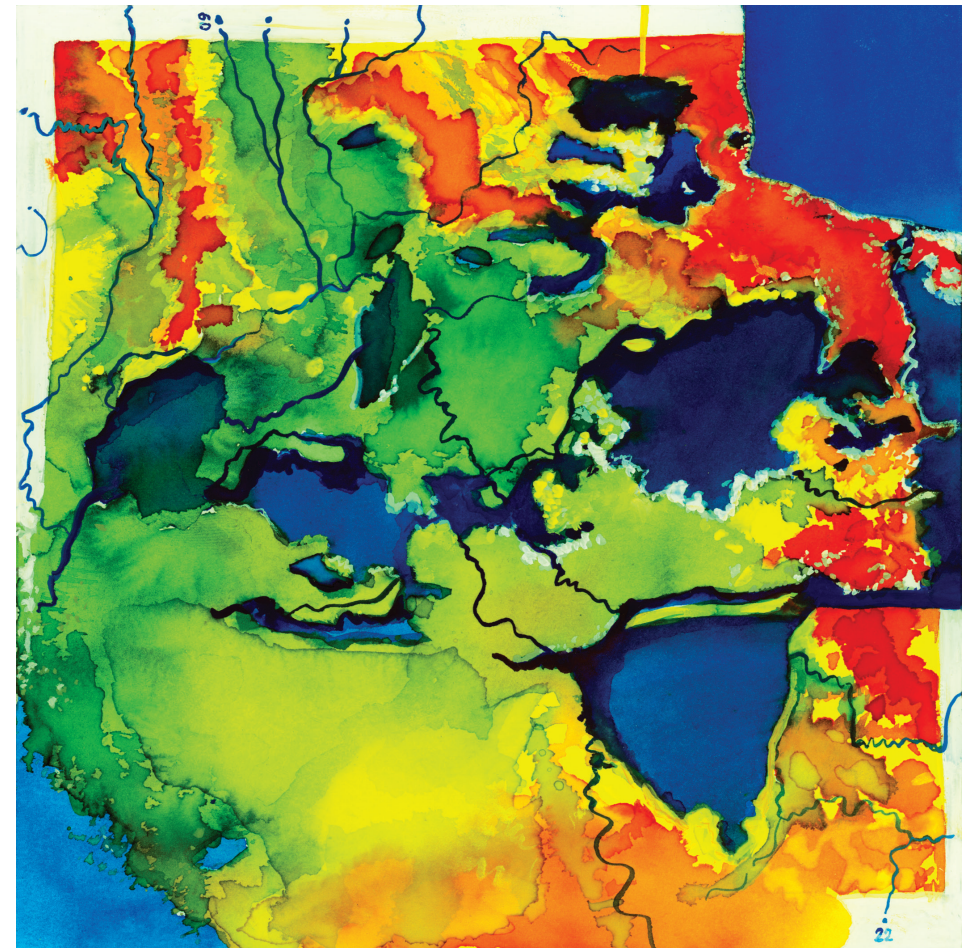
Wszedłem do ubikacji. Tutaj mnie nie znajdzie. Ale była tu. Nosem zwąchałem jej przykrą obecność. Pozostawiła po sobie niezatarte wspomnienie. Pochyliłem się nad sedesem. Głębiej, na porcelanie smużył się bułany uśmiech. Och, moja klaczka! Wzruszyłem się ścichapek, aż puściłem bąka. To było silniejsze ode mnie. Wetknąłem łeb do środka i pocałowałem ją. Jak niesyty zlizalem jej długi ślad. Tak zostałem. Tuliłem policzki do chłodnej półeczki i mruczałem: „Kocham cię, kocham”. Nie zmieniając pozycji, prawą ręką wymacałem spłuczkę i spuściłem wodę. W muszli zaszumił ocean, ostudził mnie zimny prysznic. Wyprężyłem się jak struna i podziękowałem Bogu, że nikt mnie nie widzi. A jednak nie mogę bez niej żyć, pomyślałem nagle otrzeźwiały, plując sobie w brodę, z której nadal zwisały resztki treściwego pocałunku, spojrzełem w lustro nad umywalką.

Jedna kuleczka odczepiła się i stoczyła do kanalizacji.

14 października 2012, Bydgoszcz

Karolinie i Andrzejowi

Piętnasty marca 2010. Bzmot 414. Za oknem gąszcz wierzbowych witek na tle śniegu. Zamaszysty szkic grafitem na szarym kartonie. Ostre kreski. Wy śpicie. Na peronie wzdłuż żółtej linii siwo-czerwony InterPici. Mikre wagoniki i rewidenci w odblaskowych kamizelkach. Zdjęcie. Wasz uśmiech





w prochu zadymki pod odwróconymi misami czarno-białego dworca. Przedwyborcze plakaty radykałów. Gábor Vona. Amnesia. Najnowsze centrum zapomnienia. Połączany Ramzes przed restauracja-hotelem o fasadzie w kolorze kiedyś chińskiej czerwieni. Sucha Studnia Siedmiu Wodków przed zamkniętym domem kultury. Błękitna płytka bez wody. 00:00, 0:0 na tablicy wyników po dziecięcych zawodach w szkole podstawowej. Nieczynny szalet publiczny. Kamienny Turul ze skrzydłami lśniącymi jak pancerz skorupiaka. Rudy pies na łańcuchu przy budzie pod blokiem. Na pustym przystanku reklama: Hell Music Pub. Royal Vodka akció. Tombola! Totolotek powietrza. Zawiany pas kruków na szczytach gołych brzoź. Niżej gęste świerki. Potem droga na Vállaj-Csanálos. Stop.

Granica rumuńska.

Rozdział żywych i umarłych.

Kto zapomina / kto pisze ze zdjęć.

15 marca 2010, Mátészalka

„Nieśmiertelność to wieczna pamięć,  
pamięć niehumanitarna,  
niepamięć.

Śmiertelność jest jej zaprzeczeniem.  
Błysk świadomości, że raz umrzemy,  
zawiera wciąż to samo światło”.

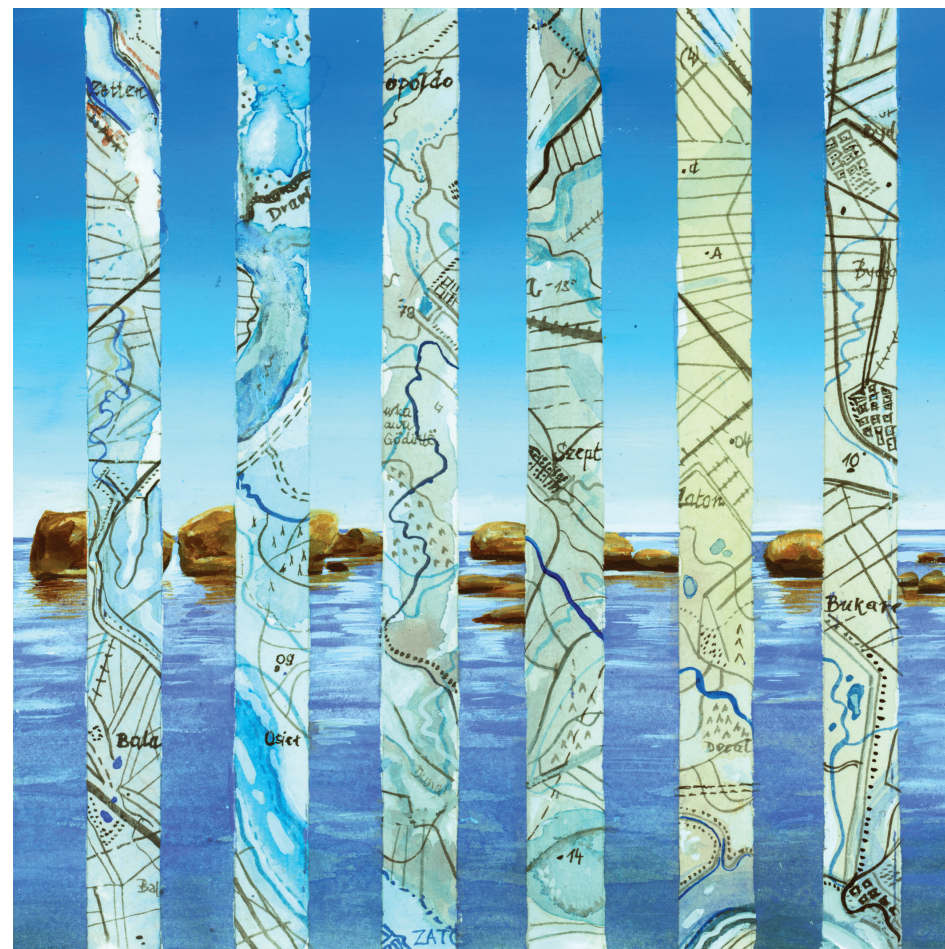
Kilka godzin po tym, jak kolega Bukowski skończył w Dubrowniku walić browary z prezesami banków centralnych Chorwacji, Macedonii, Czarnogóry i Słowenii (doniosła mi o tym z Budapesztu Manna; pisała też, że według słów Pawła jeden z nich „wyjebał się z krzesła” – ciekawe który, Słoweniec raczej nie), ja obudziłem się w nowosadzkim łóżku, wstałem i poszedłem na rynek po śniadanie.

Upał był niebywały. Wszędzie białe światło, prześwietlone kolory. Z bramy rozpadającego się ciek budynku wyłoniła się kobieta. Biodrzasta, piersiasta, grubołyda, wąsolica. O cerze bladej jak spłowiałe płótno. Nosila czarną koronkową suknię, tak czarną, że kiedy na nią patrzyłem, miałem wrażenie, że to nie rzecz, a skacząca plama w moim oku, mroczny powidok. Nogi miała gęsto owłosione, pod pachami kwitły jej bukiety czarnych róż (to taka młodopolska choroba), na głowie lśnił kok, bryła węgla. Spod brwi Fridy Kahlo, czy raczej młodego Breżniewa, łyskała koksem oczu, aż leciał dym. Kiedy strzygła uszami, wyrastające z nich pukle fałdowały niczym zgniłe wodorosty. Gdyby nie krucze boko-



brody, prezentowałyby się całkiem, całkiem i niczego sobie. Brunetka w każdym calu. Hiszpanka w biały dzień. Uderzyła mi do głowy. W palonej magnezji powietrza była nie do wytrzymania, więc schowałem się w cień bramy. Podeszła do mnie i zagadnęła, czy tęsknię za domem, bo ona nie. „Właśnie uciekłam od Maura, a Maur to noc, która nie ma końca”. Nie reagowałem. Z bliska wyglądała o wiele starzej. Jasną cerę bruzdziły dość głębokie zmarszczki, podłużne doniczki, z których coś wypuszczało kielki. Nie mogłem oderwać od tego wzroku. Było bardzo duszno. Zakręciło mi się w głowie, prawie upadłem, ale ona mnie podtrzymała i zapytała (po jakim?): „Idziesz na żywczyka?”. Przekleństwo słońca, gorączka. Majak, omam, zwid. Za długo ślęczałem wczoraj nad przekładem. „Tak”, powiedziałem, chcąc się z tego wyrwać. Udało się? W końcu wypiliśmy po jednym jeleniu. Rozstaliśmy się. Na pożegnanie merdała za mną małpimi łapskami. Krzyczała, że będzie czekać. Szczekała. Wiernie i transowo, jakby rozpoczynała obrzęd wymiany Polaka za Maura. Zaraz zawtórowały jej staromiejskie kundle, a z tłumu kupujących ktoś, kto najwidoczniej tylko ją słyszał, wrzasnął: „Oby ci morda brodą obrośla!”. Bawiąc się myślą, czyje głosy pójdą w niebiosy, przyspieszyłem.

Odświeżony i pokrzepiony różnym krokiem szedłem w stronę swojego mieszkania. Pod zatrzaśniętym na amen pałacem władzyki zobaczyłem inną panią. Ta miała ze sto lat! Siedziała na ławeczce pod jakimś lichym drzewostanem i paliła papiero-



sa. Ale jak paliła! Wciągała dym w płuca tak pazernie, jakby razem z nim chciała wchłonąć cały eter Ziemi. Owszem, jarała czarcio, lecz jej oczy, ogromne i żywe jak strach, lśniły bosko. Mnie jednak zainteresowało coś innego. Obok niej stała dykta z wyklejonym napisem po rumuńsku: „4 zawały, 3 wylewy i 2 dni śmierci klinicznej” (podaję w wolnym tłumaczeniu), który, jakkolwiek przerażający, w zestawieniu z nią rozbawił mnie do łez. Widząc, jak zanoszę się od śmiechu, pomyślałby

kto, że to przez komizm sytuacji: wady jej serca i charakteru kontra namiętny nałóg, uzależnienie silniejsze od podstawowych zasad marketingu i zarządzania biedą. Otóż nie, a przynajmniej nie tylko. Ona rozweseliła mnie głównie dlatego, że siedziała przy oblepionej czerwonymi literami sklejce, obok której dzień wcześniej siedział pewien brodaty pan.

Ujrzałem go, jak ją dzisiaj, wracając z rynku (w siatce: mauliny, nasiona dyni, ser – samo zdrowie). Rezydował w tym samym miejscu pod ścianą pałacu, na tej samej ławeczce, pod tak samo agonalnym drzewkiem, tą kpiną z platana. Przeszedłem dalej, lecz nim dotarłem w siną, chłodną dal domowego ogniska (w mieszkaniu podówczas byłem sam, Dragana w szpitalu), zorientowałem się, że krocę wzdłuż krawędzi, że między mną, sytym trzydziestotrzylatkim bez – odpukać w niezapisane – chorób, a nim, zarośniętym jegomościem po 4 zawałach, 3 wylewach i 2 śmierciach klinicznych, zionie przepaść. „No, przepaści – pomyślałem – są po to, by je przewycięzać (*preMOSTiti*)”. Tak uczyła mnie katechetka Radka w bydgoskiej parafii Świętego Józefa, tak to przeczytałem wczoraj w słowniku i zapamiętałem. Dlatego cofnąłem się i wrzuciłem mu dziesięć dinarów. W głowie zagrały mi organy. Jak tylko wybrzmiały pierwsze akordy, dźwięk ścichł, ustępując miejsca uroczystemu głosowi księdza albo Boga: „Idźcie, ofiara spełniona”, usłyszałem pod kopułą czaszki, po czym w euforii rozgrzeszenia mimochodem palnąłem: „Ale jestem zajebisty!”. W okamgnieniu niezachwiana górnolotność chwili poszła się kolebać. Czar

jałmużny przysł. Miało wyjść dobroczynnie, a wyszło jak kaleka z worka politycznej poprawności: brodacz – ofiara skończona, nie ma co.

Zapomniałem dodać, że zarówno on, jak i ona nie zebrali. Oni zarabiali. Pod nogami mieli elektroniczną wagę osobową. Oferowali starotestamentową usługę ważenia. Jednak zamiast przyłożyć rękę do ściany za nimi i coś tam napisać, na szali postawiłem nogi i dowiedziałem się, że mam 75,4 kilograma z reklamówką. Tę wiedzę zawdzięczam kudłatemu szarlatanowi. A czego dowiedziałem się od pani szachrajki? Chyba tego, że już nigdy dobrze się nie zważę. Bo gdy świat stracił grawitację, przestało się liczyć, jaką kto ma masę. Dzisiaj nie jest ważne, czyś gruby, chudy, szczupły czy szkieletor. To wszystko przypadek, bujanie w obłokach, zero przyciągania. Bez punktu odniesienia człowiek trafia w próżnię, tam gdzie nie ma powietrza i nie da się mówić. Tego mnie nauczyła. Póki nie wiem, gdzie jest góra, a gdzie dół, co jest czym, a kto kim, póty do woli mogę tyć i chudnąć bez obaw, że skarci mnie głos z kobiecych pism dla prawdziwych mężczyzn. Tak, mogę to robić, ponieważ w porównaniu z samym sobą zawsze będę ważył tyle co nic.

Dalej, już bliżej domu, na końcu ulicy Nikoli Pašicia, spotkałem lutnistę Jozefa Van Wissema (tego po lewej: <http://www.youtube.com/watch?v=r2kG0pYEsOo>), który wcześniej, w dniu mojego ważenia, miał w Nowym Sadzie koncert. Nie wysłuchałem go, a teraz było za późno. Już nie grał, mogłem zatem tylko się przyglądać. Stał wkurzony przed

hotelem i przestępował z nogi na nogę, podczas gdy metr od niego bez nerwów leżała walizka. Walizka była nowoczesna i na kółkach. Prawdę mówiąc, do niego bardziej pasowałby mi neseser czy jakiś stary kufer, ale cóż, przecież nie wszystko musi iść po naszej myśli. Po ostatnich doświadczeniach powinienem to wiedzieć. Na Jozefie pięknym zamszem pyszniło się borsalino, wysoki kapelusz ze ściśniętą główką. Spomiędzy niej a okalającej ją wstążki sterczały źdźbła trawy, których zgniła zieleń skojarzyła mi się z czarodziejskimi wodorostami na dnie morza. To ich szukał Gilgamesz. To one nie zapewniły mu życia bez końca. Van Wissem też chciałby je znaleźć (wiedziałem o tym z jego muzyki), a jeśli kiedyś mu się to uda, powie: „Łe, takie to ja już mam”. Ale nie rozczaruje się. Po prostu ze spokojnym zdziwieniem (sic!) stwierdzi, że wieczność nosi w sobie od zawsze i że do niczego nie jest mu ona potrzebna, no, chyba że ku uwadze, by nie zapominać o śmierci. Bo ta wytęskniona przez Gilgamesza nieśmiertelność nie jest niczym innym jak codziennym memento, długim jak zygzak błyskawicy pobytem w krainie cieni, krótką ekspedycją, kiedy odwracamy się od świata i zaglądamy w to coś, co z bruzd wypuszcza kielki, w ciemno.

Pierwszy raz odbyłem ją jako dziesięciolatek. Oglądałem z Mamerką i Anią *Dynastię* i nagle poczułem, że wszyscy umrzemy: ja, mama, siostry, ojciec i babcia. Ta wiekuista prawda spadła na mnie z jasnego ekranu jak pół pacierza i tak samo szybko znikła. Gdzie byłem w tym czasie? Bo na pewno nie

u Colbych, nie u Carringtonów. Wiem jedno, zegar tam nie tykał ani nie było miejsca na oddech. Jakbym dał głębokiego nura w paradoks „świadomość, że jesteśmy śmiertelni, jest nieśmiertelna”, wypłynął na powierzchnię i, mimo że nikt nie zauważył mojej absencji, zgłosił ponowną obecność. To uczucie minęło, ale zarówno wtedy, jak i teraz miałem satysfakcję podobną do tej z gry w Piotrusia: połączyłem karty, znalazłem parę. Ponad dwadzieścia lat temu mojemu lękowi wyszedł naprzeciw spokój Mamerki („Synku, przecież to normalne”), dzisiaj zaś trawkę na kapeluszu Jozefa przygarneły podmorskie zarośla Gilgamesza. W ten sposób Wissem, tropiciel nieprzemijalności, dowiedział się, że ma ją na co dzień, ma ją na co dzień, lecz wcale jej nie chce. Dowiedział się, choć o tym nie wiedział. I było tak jak w jego muzyce:

bezsens pokonywał sens, a sens wypierał bezsens,  
ciężar dusił lekkość, a lekkość wyzwalała ciężar,  
kosmos ustawiał chaos, a chaos rozpręzał kosmos,  
wyjątkowe uszczegóławiało ogólne, a ogólne uniwersalizowało wyjątkowe...

I tak dalej,  
i tak w kółko,  
i tam, i z powrotem,  
i w górę, i w dół,  
na skos i na przełaj,  
ze środka na zewnątrz

i z zewnątrz  
do środka.

Ponieważ u Józka coś trwa i coś się wyłania, coś znika i trwa, istnieją kierunki, są eksplozje, huki; pomruk jest i grawitacja. Przede wszystkim ona. Konkret u dna d\_ucha.

Tak więc Jozef van Wissem z trawką raju na głowie, wypisz, wymaluj lutmistrz z okładek swoich płyt, wykąpany (dlatego śmiertelny) i nieodrodny syn własnego wizerunku (ten sam zarost, ta sama fryzura, ta sama kruczoczarna katana, tylko borsalino inne, zamszowe i nowe) stał nie z neserem, a z walizką na lśniących kółeczkach, i niecierpliwie patrzył w stronę pałacu władzy, tam gdzie zwrócone oczy wszystkich, w kierunku szalbierza, krętaczki, bokobrodej królowny Wąsolicy, co nie chciała męża, i bezpańskich psów. Pewnie czekał na kogoś i nie mógł się doczekać. Spieszył się, a ten ktoś się spóźniał. Nie potrafię stwierdzić, kto to był. Aż tak dobrze to ja Józka nie znam. Ale jednego jestem pewien: na sto procent nie była to wena. Na wenę czekałby inaczej. A jeśli nie wena, to kto? Jarmusch? Jeden jelen? Tęsknota za domem? Śmierć? Taksówka?

W drodze do pieleszy kupiłem jeszcze zdrowe chlebki. Chlebki, a w zasadzie paluchy, nazywają się Tonus. Później, jedząc je na śniadanie, napisałem zadanie typu prawda/fałsz.

Proszę wskazać miejsca, które kłamią.  
Proszę wskazać tych, którzy mówią prawdę.  
Niepotrzebne skreślić. Potrzebnych wziąć w kółko.  
Możliwa jest więcej niż jedna odpowiedź.  
Epizody są trzy, a zdań? Zdań  
dużo za dużo. Zaleca się  
pracę w parach.

Bukowski wrócił do Manny na gazie. Ledwie przestąpił próg mieszkania, oznajmił: „Dubrownik jest przereklamowany. Nie ma to jak polski dom i ten swojski zapach!”.

Pary – jak cuda – zdarzają się.  
Opary, niestety, są zawsze.

16 czerwca 2014, Nowy Sad

## chorążówka 5b (lary i piernaty)

MAŁE

Jasne rano z gorącą kawą na tarasie, koc. Wychodzisz twarzą do wiatru, więc lekko się kulisz, mrużysz oczy. Słońce prześwieca jak miedziana blacha, drga mgła. Na deskach pod nogami szreń, na trawie śnieg, między kamykami lśniąca kulka śliny. Co to? W szkle widzisz ogień świętego Elma, żyłki wyładowań. Tam jeszcze trwa noc, tam idzie na burzę. Gładką powierzchnię liże mróz, migocą igielki. Spomiędzy



57

PROZY

dłoni unosi się para. Kłęby biją w wystający sosrąb. Wokół ślepie biel. Przez szybę słyszysz, jak gwizdże garnek. Mleko. Trzeba wstać, zaraz obudzi się Ada. Na dnie kubka zamiast fusów wróży reszotka inki. Ostatni łyk, półobrót, ręka na klamce, stop-klatka: pory, spierzchła skóra; potem ciche skrzypnięcie drzwi i już jesteś w środku. Wkładasz bambosze, jak miętko. Pod sufitem w złocistych otoczkach polatuje rój owadów albo kurz. Wyżej, na piętrze, tupot gołych stópek. Pociągasz nosem, mijasz kominek, w którym już czekają szczapy, w kuchni wyłączasz gaz. Na lodówce kartka od brata, pocztówka. Z daleka widać tylko adres: Chorążówka 5b... Ktoś zbiega po schodach. Podchodzisz do zlewu, na plecy wskakuje ci pachnący snem skrzat. Śmiech, telefon. Z ferii dzwoni Antoś. Brał udział w wyścigu, dziś z ojcem wespnie się na stok. „Mamo, ja podarłem spodnie”. „Synku, to nieważne, liczy się tylko świetny czas”. Na ścianie zegar, tyka teraz.

17 stycznia 2016, Bańska Bystrzyca



W Nowym Sadzie na ulicy Nikoli Tesli pod numerem 18, gdzie na mansardzie rezydował kiedyś pisarz Slobodan T., a na pierwszym piętrze dwie przygłuche Szwabki, dzisiaj mieszkają Cyganie, liczna rodzina. Zajmują parter. Wiem o tym, bo ktoś życzliwy na froncie domu czarną farbą napisał ЦИГЕ. Poza tym codziennie do nich zaglądam. Nie, nie pukam do drzwi, nie wiem nawet, o kogo miałbym pytać. Nie mają wizytówki. Przechodząc tamtędy, rzucam okiem przez brudne firany. Wewnątrz zawsze jest tak samo. Zimna poświata telewizora rozjaśnia duży pokój, pusty, bez dywanu. Na kanapie siedzą dorośli. Podłogę zajmują dzieci i zabawki. Zmienia się tylko ich układ. Raz są porozrzucane bardziej, raz mniej, raz są w środku, a raz na zewnątrz. Właśnie tam widziałem kiedyś chłopca w cienkich rajtkach, o którym do dziś trudno mi zapomnieć. Stał zasmarkany w strugach deszczu z nosem przylepionym do okna i pociągając nim spazmatycznie, tęsknym wzrokiem sięgał do pokoju, gdzie akurat leciała jego ulubiona bajka. Surowy ojciec wygnał go na ulicę, a on poddał się tej karze bez pytania, ponieważ dla niego oznaczała los. Dlatego, mimo że żałośnie płakał, trząsł się z zimna i rozpacz, przez cały czas trwał przy szybie nieruchomo jak sam pręgiarz. Bardzo mu współczułem, ale nie śmiałem nic zrobić. Bo jak to tak, żeby gadzio wtrącał się w romanipen.

Kilka dni potem znów szedłem tą ulicą. Ciężkie chmurzyska pulsowały nade mną jak Dunaj w najgłębszym punkcie. Był



późny wieczór i było duszno. Od dłuższego czasu zbierało się na burzę. Jakieś sto metrów od domu, o którym mówię, zza winkła wyłoniła się dziewczynka. Z kakaową cerą, reżolutna. Obładowana była dwiema wielkimi torbami, niosła też ciężki plecak. „Która godzina?“, zapytała. Nie pamiętam, co odpowiedziałem. Może: dziesiąta? Odprowadzałem Draganę, mogła więc być nawet jedenasta, dwunasta albo i później. Dziewczynka spieszyła się do domu. Wracała od bab-

ci, która mieszka przy SPENS-ie. To potężnych rozmiarów pedet z basenem i halami sportowymi. Coś jak nowohucki DH Wanda, tyle że położony w centrum. Zbudowany rok po śmierci Tity wciąż pełni funkcję najważniejszego punktu orientacyjnego. Pół miasta robi w nim zakupy, pół miasta trenuje tutaj, co się da, od pływania po strzelectwo.

„Pomóc ci?” „Tak”. Wzięliśmy jej bagaż. „Skąd jesteś? Ile masz lat? Co robisz?”. Zadawaliśmy standardowe pytania, taki *small talk* dla początkujących, i wzdłuż rachitycznych drzewek szliśmy w kierunku jej mieszkania. Pachniała piwnicą. Pochodziła z Suboticy, powinna pójść do piątej klasy, ale miała poślizg. Przeprowadzki, obowiązki, poza tym kilka lat spędzonych z rodziną we Włoszech. Musieli stamtąd uciekać. „A dlaczego?”. „Bo dzieci w szkole psociły”. „Aha. A znasz włoski?”. „No!”. Odpowiedziała tak, że od razu było wiadomo, że ten włoski zna. „Chyba wiem, gdzie ty mieszkasz”. Zdradziłem się, pewnie niepotrzebnie. Wiedziałem, bo, jak już wspominałem, codziennie tamtędy przechodziłem. Naprawdę, innego powodu nie było. Poczułem jednak, że się przestraszyła. Chociaż nie dała tego po sobie poznać. Była twarda. Silna mała Cyganka nocą dźwigająca po mieście ciężary. Bohaterka, której nikt nigdy nie postawi pomnika. Wzdrygnęła się. „A skąd pan wie?”. „Dom, w którym mieszkasz, jest znanym domem, mieszkał w nim kiedyś pewien artysta... artysta konceptualny...”, zacząłem się tłumaczyć, zbaczając na manowce. „Wiem”, ucięła. Zatrzymała się kilka metrów

przed bramą. Wyciągnęła klucze, jakby nie miała przed nami żadnych tajemnic. A jednak. „Tutaj musimy się rozstać – za wyrokowała – mój tata byłby zły. Sami państwo rozumiecie”. „Yhm”. Pokiwaliśmy głowami, oddałem jej torby i plecak. Ostatni raz spojrzała na nas swoimi wielkimi oczami, które zaskrzyły w mroku tak, że wchłonęły w siebie całą jej postać. Poza nimi nie istniała. Migotliwa Cyganeczka spotkana raz w życiu. Zamrugła radośnie i zniknęła. A myśmy ruszyli dalej, do akademika. Chwilę o niej pogadaliśmy, szybko jednak przeszliśmy na inny temat, bo zaczęło padać. Lunęło, więc zapomnieliśmy. O tym spacerze, który zmienił się w ucieczkę, o tej dziewczynce, o nowosadzkich Cyganach. O wszystkim, co było. O nas. Tak nagle zmienił się krajobraz. Kilka dni później Draga powiedziała, że czasem jej się ze mną nudzi. Zdziwiłem się. Czyżby mi wtedy nie towarzyszyła? Czy nie patrzyła tej dziewczynce w oczy? Nie spojrzała prosto w słońce? Bo to było słońce. Słońce przed letnim deszczem. Bre-dzę? Być może, ale wyłącznie pod nosem, po cichu, do siebie. W ten sposób próbuję złamać zaklęty krąg. Pisaniem. W końcu najważniejsze, by nie być samemu. Żeby się podzielić. Choćby na dwa, jak strzykwa.

A na imię miała Mima. Tak mówiłem na siebie, gdy miałem dwa lata. Dziś mam trzydzieści dwa.

18 maja 2013, Nowy Sad



## ultramaryna w nadirze

Rozwiane bryzą długie włosy, łabędzia szyja, alabastrowa cera, delikatny róż policzków, renesansowa harmonia. W tle intensywnie niebieskie niebo. „Powtarzając dobranoc, nie dałabym ci zasnąć. Gdy pochylisz nade mną twe usta pocałunkami nabrzmiałe, pierś moja w objęciu twej ręki stopi się jak śnieg”. Wenus, szafując pięknymi cytatami, mruczy mu do ucha, dotyka go i zaraz się odsuwa, odbija od brzegu i odpływa na bajecznie przerośniętej muszelce. Z odległości znów jednak wyciąga w jego stronę rękę, kusząco przywołuje paluszkami, wabi: „Chodź, chodź!”, a on wiedziony nieznaną siłą puszcza się za nią w swobodny dryf, ale nie nadąża. Dzieli ich coraz więcej fal. Jej słowa wprawdzie wciąż łaskoczą mu uszy, jej głos, pełen seksapilu, roznieca w nim ogień, lecz jest tu woda, coraz więcej wody, która gasi i wysusza, gdy nagle zamienia się w piasek. Ma go pełne usta, jego głowę mąci głątwa, a zza spękanej Wenus wyłazi szkarada. Ciucianie w okamgnieniu zmienia się w nieznośny skrzek, potem w warkot, i to tak głośny, że Laskonogi budzi się i otwiera oko. „Tu Maryna, tu ultra-Maryna”. Widzi ją do góry nogami, jak stoi nad nim u wezłowania łóżka. Zastania mu widok, szpecąc swoją sylwetą przystojność przestworza. Wargi ma szczepione niby wściekłe psy, rzezi okrutnie w siebie i na zewnątrz. Buczy donośnie, mlaska całą żuchwą, ledwie odlepiając dolną szczękę, ciamka. Jak tamta była ładna, tak ta jest nieładna. „Jaka Wenus, taka i Wenera. Życ? Nie, umierać”. Bo ona właśnie zaczyna tańczyć. Lecz cóż to za taniec? Na kształt dwuletniego dziec-

MAŁE

63

PROZY



ka przechylona do przodu rytmicznie wznosi się i opuszcza na nogach, pyrgając kolanami o deskę nad jego głową. Niezbornie przy tym gestykułuje, krztusi się jak chory na dysfagię i bełkocze: *Slobdna ljubav, slobdna ljubav*\*... O co chodzi, nie wiadomo. Widać tylko, że jest podekscytowana, raz parska stłumionym śmiechem, raz zalewa się łza-

\* Slobodna ljubav (serb.) – wolna miłość.

mi, z ust idzie jej ślina, a z nosa smarki. Wtem pikuje i daje mu całus Honeckera, prosto w usta, lecz namiętny niczym polityka. „Fuj!”, Laskonogi zrywa się z pościeli, sztruksem rękawa wyciera pohańbione wargi. Dopiero teraz zwraca uwagę na strój. Spał w golfie i marynarce, a od pasa w dół nagi. Wczoraj musieli rzetelnie popić. Dlaczego? A czy to ważne? Bez specjalnego powodu, ot tak, na ogólny zgryz, na smętka-dusiołka.

Ultra-Maryna ma na sobie obcisłą czarną mini oraz zwiewną bluzkę z lat osiemdziesiątych. I, cholera, wciąż tu podryguje. Odsunęła się tylko o krok, bliżej niskiego stolika z kilkoma flaszkami po winie, z trzema kieliszkami. Sprężynuje dalej. Jej wyrazista kibić wije się bezładnie, dorodne piersi skaczą na uwięzi. I jak on w nie, tak i ona wzrok wpija w jądro laskonogi. „Oż ty – otrząsa się jego właściciel – gdzie się, zołzo, patrzysz?!”. Okazuje się, że jej spojrzenie mimo wszystko wciąż jest dźwignią życia. Dlatego on, zawstydzony, hyc do sterty pod oknem po gacie i portki, w trymiga w nie skacze i z powrotem hop do łóżka, jakby zmarzył na gnat. Przykrywa się płaszczem z cekinów, obok leży czapka świętego Mikołaja, za poduszkę służą zmiętolone stringi. Patrzy w sufit, kątem oka łypiąc na tancerkę. Zez i zgryz, oto jego portret okolony krawędzią posłania. Wsłuchuje się w bulgot: *Slobdna jubav, slobdna jubav...* i próbuje odtworzyć w myślach, co robił tej nocy. Boli go głowa. Niczego nie pamięta. Nawet tego, kim jest ta kobieta, jak się nazywa,

skąd się tutaj wzięła i jaki ma zawód. Potrafi sobie wyświecić tę z Botticellego, ale tej – za Chiny. Ona jest za blisko, żeby o niej marzył. Mieszkają razem już dwa lata, a jakby ją widział pierwszy raz w życiu. Jakby zaczęła wszystko od nowa, duchem wróciła do siebie sprzed dwudziestu lat.

Rusza się niby dziecko, które dopiero co stanęło na nogach, gadkę ma dwulatka. Tylko jej ciało zostało to samo, a wręcz się rozrosło. Kobiecość w niej napuchła, twarz się wykrzywiła. Laskonogi już nie ukradkiem, a pełnymi oczyma oplata ją i wszystkie jej przymioty i przedmioty. Łączy fakty, rozkminia. Stringi pod jego głową, cekiny, czapka Mikołaja, mini i bluzka na niej, a pod nimi? No właśnie, pod bluzką nic nie ma, choć to określenie w istocie bliższe jest swemu przeciwieństwu, wszakże kobiece piersi, dwie brunatne pieczęcie na nich, strzegą tajemnicy Salmakis i Hermafrodyty, prowadzą myśli i członki nie ku nicości, ale ku bytowi, do jedni, do wszystkiego. Tymczasem jej spojrzenie mówi co innego, ona takich nadziei więcej nie pokłada, od wczoraj jej wdzięk ma być dźwignią handlu, nie życia. „Co się tutaj stało, a co się nie stało?”. W kącie pokoju bez słowa świeci telewizor: niemieckie porno bez napisów, w rogu znaczek *mute*. Tej nocy ktoś tu jeszcze był. Laskonogi nie używa takich dopalaczy, ultra-Maryna nie uznaje telewizji. I ten zapach. Jej, jego, czegoś między albo poza nimi. „Dość tego! Trzeba otworzyć okienko, otworzyć okienko i przewietrzyć pokój”.

Zrywa się na nogi, żeby rozsunać zasłonkę i znów zwraca uwagę na swój dziwny strój. Skąd ta marynarka, dlaczego był goły? „Czemu byłem goły?”, krzyczy nagle jak ten, którego grzech okrył już listek figowy. Ale ona jest w szamańskim transie. Cała wibruje, z osobna każdą częścią ciała, białka oczu wywraca do wewnątrz. „Ilu żeś ich miała?”. Chce dorzucić „kurwo”, lecz słowo samo stacza się z języka w krtań. Ultra-Maryna na palcach pokazuje V: zwycięstwo, pięciu lub dwóch, i mamrocze: *Slobdna jubav, slobdna jubav...* Tylko na to ją stać. On wtedy łapie się za głowę.

Następuje pauza, trwa fizjologiczny moment, po którym pomieszczenie opuszcza już nie lasko-, a słomianonogi. Trzaska metalowymi drzwiami sutereny i po schodach w górę dobija do słonecznej strefy. Wytacza się na dwór. Tam jasność w zenicie i światło bez cienia.

Jest jak nieśmiertelność. Nic po sobie nie zostawia.

19 lutego 2014, Nowy Sad

## wojwodina na florydzie, stężenie

„Zwierzęta są bliższe Bogu niż człowiek”.

Ladislav Klíma

Федя leżał do góry nogami. Przypominał zabawkowego konika, którego ktoś, oderwawszy mu bieguny, rzucił w kąt. Cztery łapy sztywno sterczały w sufit balkonu. W środku, w pokoju na łózkach płakały dziewczyny: Vikica i Dragana. Podszedłem do seledynowej klatki, nachyliłem się i kiedy wziąłem go do ręki, poczułem, że trzymam spreparowany eksponat, coś wypchanego trocinami. Pogładziłem białe futerko – plusz. Zawsze kruchy i delikatny, teraz nadał się i stężał na kamień. Trochę już śmierdział. Oczy miał przekrwione, a wokół ust – gówniany szlaczek. Jakby mu się odbiło i przestraszył się tego tak bardzo, że dostał udaru mózgu albo zawału serca. A może wcześniej coś zobaczył, wyniuchał albo usłyszał i to coś przerosło go i pokonało. Bo zwierzętom jest trudniej. Nieme skazane są na samotność, na towarzystwo Boga. Milczą, nawet w Wigilię. Nie potrafią dzielić się troskami, zwałpieniem i radością, ból noszą w sobie do końca i dłużej, ich lęki są niepodzielne. Euforią i strachem zarażają wyłącznie same siebie, upychają je po wnętrzościach, po członkach, po całym ciele. I nigdzie indziej, nigdzie dalej. Nikt nie może im pomóc. Dlatego królik królikowi nigdy nie jest wilkiem. Królik królikowi jest tylko królikiem, istotą skądinąd. Ich jaźń jest zamknięta, kompletna, nie musi się doskonalić ani niczego sobie udowadniać. Króliki po prostu są i nic nam do tego. Niepotrzebnie pchamy się do nich z rękami. One nas nie

potrzebują, one potrzebują jedzenia. Poza tym wszystko mają z pierwszej ręki, nawet epifanie. A nam zostaje *second hand*, językowe podchody, ślady mowy, po których można wracać; podkreślający blade wrażenia narkotyk bajedy. Samo źródło jest poza naszym zasięgiem, a one z niego piją. Tak, bo ono bije z tych blaszanych miseczek, które zdarza nam się kopnąć ze złością, gdy na nie przypadkowo nastąpimy. Patrzymy w księżyc, a one w słońce na ziemi. Żyją przylgnięte do niej, a potem umierają. W śmierci się jednoczymy. Wtedy zarówno one, jak i my nie potrzebujemy już objawień, stajemy się objawieniem. Znikamy, więc łączymy się z Bogiem, ponieważ on jest, gdyż go nie ma. Po śmierci wszyscy spotykamy się u jego braku, a potem świat trwa dalej i jedyne, co traci, to nasza indywidualność, chociaż i tego nie jestem pewien. Tę pewność zachwiał we mnie Федя † 10.06.2013.

Pochowaliśmy go naprzeciwko budynku, który przypomina wieżę ciśnień, na zboczu nasypu, pod drzewkiem. Niżej płynął Dunaj, to dziwo na przestrzeni czasu, wyżej, po nabrzeżu toczyła się rzeka ludzi, mimo że do niego podobna (też nie-i-jest), to mniej interesująca. Grób kopaliśmy stoikiem i blaszanymi kokilkami wykradzionymi ze stołówki. Szło opornie, dodatkowo przeszkadzała nam trawa, jej mocne korzenie. Dragana mówiła na nie *pir*, a *Vikica zubaha*. To je poróżniło i przez chwilę sprzeczały się, broniąc mowy swoich małych ojczyzn. Już chciałem powiedzieć: „Ciszej nad tym grobem!”, ale nie wiem dlaczego, źle mi się to skoja-

rzyło, więc przeczekałem. I dobrze, po co dolewać oliwy do ognia. Powaga sytuacji udzieliła się im sama i zaraz zmieniły temat. W końcu się udało. U naszych stóp zionęła pusta dziura. Z całunu reklamówki wyjąłem królika i położyłem go do środka. Szybko, nogami, usypaliśmy kopczyk, Федя zniknął nam z oczu. Mogiłkę przykryliśmy odwróconą salaterką, obrzuciliśmy garścią suchej karmy, z dwóch patyczków zrobili-



śmy krzyżyk. Dziewczyny, chcąc puścić z dymem żal i całą tęsknotę, zapaliły papierosy. Postaliśmy tak we względnej ciszy – z deptaku dobiegały dźwięki leniwego poniedziałku: stukot spacerowych kroków, szum kręcących się kół, wózki, rowery, rodziny z dziećmi, pojedyncze okrzyki tryskające z potoków słów, tętent odbijanych piłek... – i poszliśmy każde w swoją stronę. Po kilku dniach z Draganą wyjechaliśmy do Chorwacji, a kiedy wróciliśmy, było już po wszystkim.

Dunaj wezbrał i wystąpił z brzegów. Zalał miejską plażę i lasek, w którym latem gzą się komary i wylani z akademika studenci. Na skraju tego lasu leżał też Федя. Woda podmyła grób, wyrwała go z uścisku kłączy (Co im po dwóch nazwach? Żywioł zaklęć nie słucha.) i zabrała królika ze sobą. Spłynął z nią aż do Morza Czarnego, a potem jeszcze dalej, do Atlantyku, dokonując w ten sposób pierwszych w historii nowosadzkich zaślubin z oceanem. Na końcu, odniesiony prądem na północ, dopłynął do Ameryki i u wybrzeży USA omyłkowo złowiono go w rybacką sieć. Jako wkładka do fishburgera trafił na stół restauracji McDonald's w Miami Beach, na jeden z talerzy grubego Kevina, który świętował akurat osiemnaste urodziny. W prezencie od przyjaciół otrzymał kilka zestawów. Rybny zostawił sobie na koniec. Pałaszował, a goście patrzyli w niemym zachwycie, jak wchłania frytki i zapija je kolą. Piękny obraz. Żarł. Żarł, aż na głowie trzęsły mu się włosy, łykał łakomie jak człowiek bez królika. Wreszcie beknął soczyście i zabrał się

za fishburgera. „Niebo w gębie – powiedział po pierwszym gryzie, a po chwili rozanielony dodał: – Raj na ziemi!”. Wtedy się uciszył, stęzał.

Федя do dziś współtworzy jedyną w swoim rodzaju kompleksję Kevina, do dziś stanowi o jego wyjątkowości, wpływa na życiowe wybory, określa los. Tłuszcioch z Florydy: krew z krwi, kość z kości filigrana z Nowego Sadu. Федя ojciec. On i nie-on. Nie-on w nim. Królik pod postacią ryby. Hostia. Komunia transoceaniczna.

Tak, Klíma miał rację, zwierzak jest bliżej Boga. Ba, on zastępuje Kościół.

Szczególnie martwy.

20 kwietnia 2014, Nowy Sad

„Gdy rozum śpi, budzą się demony”.

Francisco Goya

Przywidziało mi się to dzisiaj około siódmej rano w autobusie numer siedem. Jadąc do pracy, przysnąłem na jawie. Wyobraziłem sobie scenę: Andrzej Głowczyk w pustej Dekafencji. Poza nim tylko barman za kontuarem – leniwie przeciera szklanki. Głowczyk siedzi w kącie nad piwem, twarzą zwrócony do sali, i lekko przechyla łeb niczym bezpieczeństwa pies, który na stypie spod stołu prosi o jedzenie. Jego gębę okrasza skwaśniały grymas, uśmiech jak po tężcu. Nagle do knajpy wchodzi Wiktor Woroszyński. Staje na środku, patrzy na barmana (bez reakcji) i palcem pokazując na Głowczyka (też zero odzewu), zaczyna płomienne przemówienie: „Oto człowiek, który jak nikt inny potrafi zdecydowanie powiedzieć nie, ba, on tego nie nie mówi, on je skanduje: Nie! Nie! Nie! Oto człowiek, który gest odmowy podźwignął do rangi heroizmu. Człowiek cnót najstarszych, Andrzej Głowczyk!”. Itd., itp. Kamera najeżdża na tego niezłomnego wśród narodów świata. Z półprofilu widać beznamiętną twarz, pod brodą odbija się piwny blask. Oczy niespiesznie przenoszą się na obiektyw. Są mętne, pijane. I naraz jakby drgnienie mięśni, może tylko tik. Moment zastygnięcia, nie wiadomo, w co się to rozwinie. Szczątki mimiki. Ale ona znika, gęba się wygładza, obraz nieruchomieje. Co za spuchnięta japa! I wtedy z niej raptowny mlask, wtem soczysty bek: „Ubek! – prosto w oko kamery, wprost

na mój okular. A potem jeszcze, cicho: – Ja stary księżyc niezawodny żałobnik, gdy na stypie podają alkohol”. I ziewnięcie rozległe, resztki użębienia...

Rozbudziłem się i przetarłem grube jak denka od musztardówek, upačkane ze zdziwienia szkła. Wiem, wczoraj czytałem *Żywe cienie* Barbary Toruńczyk – stąd „Zapis”, Woroszyński, Herbert. Ale skąd tu Andrzej Głowczyk, ten Przybyszewski nie w porę, spóźniony alkoholita Najsamszego?

21 marca 2013, Nowy Sad

Dziwne, tego dnia noc ustępowała nie od wschodu, lecz od południa. Coś jej się pokićkało i wystartowała stamtąd, skąd nie trzeba. Blakła od dołu, trochę jak siniaki pod paznokciami, tyle że szerszą paletą kolorów. Czerń, brud, rdza, potem róż, pomarańcz i beż, aż żółć, w końcu szarość. Rozkład barw, rozwój w biały dzień, choć biały nie był nawet śnieg, a co najwyżej mieszkańcy tego miasta, i to tylko w sensie rasowym, bo w każdym innym oni też zmieniali umaszczenie. Na przykład teraz, kiedy słupek rtęci stanął nisko pod minusem, wszyscy nowosadczycy, a ja z nimi, zielenieli. Dopiero wstawali, przeciągali się i ziewając, kułakami rozcierali oczy. Chcieli przejrzeć i bystrym spojrzeniem na cztery wiatry odpędzić od siebie młodsze siostry śmierci. Tymczasem krowim wzrokiem lizali ściany dusznych pokoi. W poszukiwaniu światła lub przynajmniej cienia podchodzili do okien, odsłaniali firanki i czekali błyskawic i gromów, znaków i archangielskich trąb, słowem: solidnego jak poezja kopa na dzień dobry.

A niebo po prawdzie było czyste. Tylko elektrociepłownie produkowały zachmurzenie. Z potężnych kominów pięły się w górę opary, gęste i miłe, tak że aż budziły pragnienie, by powstały z nich wszechogarniające mgły. Zza kłębow wyzierało słońce, któremu można było spojrzeć prosto w oko, rozszerzający się w koło jasny punkt. Na tym tle każdy grzewczy buch widziałem z osobna i z bliska, jakbym sam siedział na kominie. Mimo że pozostawałem w ukryciu i świat zdra-

dział jedynie judasz okna, białe pierścienie spływały mi prosto na twarz, odurzały jak kosmate loki. Dym szedł równo i wolno, wstępował coraz wyżej i jakkolwiek chyba tego nie chciał, nasuwał skojarzenia z konklawe. Tym bardziej że pokój, z którego patrzyłem, był zamknięty i ciepły. Poza tym działała kolorystyka. Dominowałabowiem najjaśniejsza z możliwych odmiana szarości i purpura. Co prawda w rogu stali jeszcze siwi policjanci, lecz ten sztafaż był martwy. Statystyci miast obrazu i obowiązków dopełniali kieliszki.

Widok zajmował śnieg, ciągnąca po nim góra czerwonych rzeczy oraz kłaczysty. Zobaczyłem go w perspektywie ulicy, a potem nie mogłem już oderwać wzroku ani myśli. Najpierw zza rogu wychynęła ona, pryzma wełny, gumy, porcelany i plastiku, a zaraz za nią zjawił się on, jej pan, i to jego zjawienie ostatecznie przypieczętowało odświętność poranka. Bo wyglądał trochę jak święty, taki, który upadł, ale się podnosi, stąpa już po ziemi i wstępuje wyżej. Święty z głową nie od parady, święty kudłaty. W uroczystej atmosferze prowadził wehikuł, w niewinnym puchu znacząc swój trop. Pojazd z kolei zostawiał za sobą trzy lekko falujące kreski. Ślady wskazywały na pijane rowery, ale ten był jeden. W miejscu kierownicy miał dwukołowy wózek z zamontowaną na przedzie maskownicą od peugeotota i z lśniącymi srebrnymi głośnikami od wieży hi-fi po bokach. Skąd te nówki się tam wzięły? Jakże zasiły je baterie? Jakże przytroczyły siły? W odpowiedzi tylko czad z nich leciał pełną parą. Muzyka szła paraliżująca i zbliżając się, rosła.

W końcu – a przecież słuchałem zza szyby – musiałem zatkać uszy.

Nieliczni przechodnie zatrzymywali się, lecz biorąc wzór ze świecącej wykładem policji, milczeli. Stali i wymownie patrzyli. A on, postrzelony święty, nie był z tych, co ustępują pod spojrzeniem. On się nie przejmował, on się nie oglądał. Jego dusza wibrowała w rytmie disco, drżenia przechodziły w ciało. Jedną ręką pchał wyładowany kukłami i pacynkami wózek i tańczył, tańczył najdziwniej: ramieniem robił szerokie zamachy, tułowiem kręcił wokół własnej osi, raz w lewo, raz w prawo. Głowy, korpusy i kubraczki z włóczki były urzeczone. Trzęsły się przy nim jak siksy osiki, jak mokre siusiumajtki. Miał je pod władaniem – one w nim upodobanie. Kalekie gramoliły się jedna na drugą i niby niewiniątka na drabinie Jakuba parły ku górze, byle szybciej, byle wyżej, po trupach do pana. Dlatego pulsowały jak robaki, a widziane w całości i z daleka dawały efekt malarskiego wyrojenia. Migotliwe manele, kupa wspomnień po Jackach i gatkach, i ich Mistrz Manole, zapowiedź ofiary, który sunął teraz do przodu bardzo pochylony, wręcz na wpół lecąc w pozycji ukośnej.

Urażało to prawu grawitacji, ale było ciężko i trochę pod górkę, więc bez robotyki, bez akrobatyki by się nie udało. Idąc, prawie nie oddzielał nóg, jedną dłoń położył na krawędzi wózka, a drugą co chwila wyrzucał w górę i do przodu,

to znów w dół i do tyłu. Kończyny drgały, toteż czasem tracił równowagę, zawsze jednak prostował go niewidoczny drut. Niepewny ekwilibrysta na grzbiecie nosił lisem podszyty płaszcz z Krainy Deszczowców, a na głowie czapkę frygijską, jakby przybył nie z Indii, ale Langwedocji. Dotknięty obłędem Attis, trubadur od siedmiu boleści, Dyl Sowizdrzał i smerf. Prowokator. Mimo to policja wciąż nie reagowała. Przypomnę, była to policja serbska. Kiedy już pokonał najwyższy punkt ulicy, wyprostował się i wtedy pokazał mi pogodną twarz. Gęba jak gęba, jednakże złotobrazowa i w tym brązie niezłomna. Nie jak oblicza mieszkańców tego miasta czy moja. Bo ja już od samej obserwacji nabierałem różnych kolorów, od kredowych aż po rumiane, podczas gdy on niezależnie od nastroju i przekonań zachowywał swą eksterytorialną śniadość.

Obok niego stały pojemniki na odpadki. Ledwie dostrzegalnym krokiem podszedł do nich i dał poszukiwawczego nura. Zaczął przekopywać zasoby śmietniska. Buszował, grzebał, wymacywał, non stop przy tym tańcząc. Na dobre rozkręcał sztywniaką imprezę, ulica pustoszała, ale on umiał bawić się sam. Z kontenera długim patykiem wyciągnął koronkowy stanik. Podrzucił go przed sobą w jedynym słonecznym przeblysku. To dobry znak. Czyżby dziś wieczorem miał kogoś poderwać? Wtem zrobił fikołka, niezgrabnie, radośnie i z potrzeby serca. Stanął na drewniane nogi, biustonosz non-szalancko przewiesił sobie przez ramię, poklepał się po kie-



szeniach, wydobył pudełeczko i szurnał zapalką o draskę. Na mrozie zasyczał siarkowy łebek, w koszyczku z dłoni błysnął płomyk. Ogień rozżarzył tytoń u wylotu fajki i zaraz znikł pod uderzeniem wiatru. Poły płaszcz łopotwały jak skrzydła. Święty skrócił szyję, głowę cofnął w kołnierz, wrócił pod rowerówek i barkiem oparł się o jego burtę, nad którą górował zwał lalek. Jedną ręką znów zaczął machać jak półptak, kijami nóg wystukiwał takt.

Muzyka grała, a on jej się oddawał, śpiewał w zawietrznym cieniu swego bałaganu. Choć był sam, krzyczał jeden przez drugiego, aż uszy mu się trzęsły, a uśmiech odklejał od twarzy. Z ostatnich ruchów jego warg czytałem coraz szybsze: „Judyta, Salome, Kybele, Judyta, Salome, Kybele, Meduza...” Nagle z samego szczytu pryzmy uwolniła się głowa – porcelanowa, lśniąca, z dwoma czarnymi węglami zamiast oczu i pędami węży zamiast włosów – i poskakując na wybojach stromizny, sturlała się na ulicę. Trzy razy odbiła się od asfaltu, potem struchlała. Święty Paweł popukał się w czoło. Wzrok zwrócony miał ku górze, ale nie tam, skąd spadała. Patrzył w ten jeden jasny punkt, który rozszerzał się i go oślepiał. I ciągle po swojemu tańczył. Podrygiwał i to nawet wtedy, gdy elektrocieplne chmury wypuściły deszcz. Płasał, bo stracił głowę. Stracił,

po prawdzie. Niebo było czyste.

22 grudnia 2013, Chorążówka



Dzisiaj na Temerinskiej widziałem faceta. Grubo ubrany, niski, kulisty stał przed sklepem AGD. Akurat biegłem wybrać kasę na mieszkanie, musiałem się spieszyć, bo już się ściemniało i lada chwila miał przyjechać gazda. Facet więc tylko mi mignął, zdążyłem jednak zauważyć ogromne kręgi pod oczami, ciemne placki jak u szopa pracza. W ogóle w tym stroju przypominał futrzane zwierzątko. Może chomika? Patrzył na wystawę nieprzytomnie i trochę zdziwiony. Jakby biło z niej jakieś specjalne światło, na przykład snop z projektora filmowego. Przebiegłem, w kantorze zamieniłem dinary na euro, wskoczyłem do piekarni po chleb, słowem: załatwiłem swoje. To wszystko zajęło mi jakieś pół godziny. Kiedy wracałem, facet stał w tym samym miejscu. Nie ruszał się, tylko ze zdziwieniem wybałuszał oczy na witrynę. A tam: sedesy! Białe, beżowe, plastikowe, ceramiczne, takie, srakie i owakie. Obok łańcuchy do przeczyszczania rur i jeszcze zagadkowe metalowe kule nabijane kolcami. Do tego różnego rodzaju ogumienie: usta Mariana, uszczelki, nakładki i podkładki, ale głównie te usta. I plastik: pudła, kotły, zbiorniki i spłuczki. Minęło zatem około pół godziny, a ten ani drgnął. W niemym zdumieniu studiował asortyment sklepu, ba, medytował, ponieważ wzrokiem ledwie wodził po przedmiotach. Może był niewidomy. Przyszło mi to do głowy dopiero później, kiedy uświadomiłem sobie, że niewidomi – mimo że dzień jest dla nich synonimem nocy – też boją się ciemności. Bo on w końcu sobie poszedł. Zniknął, kiedy zapadł zupełny mrok. Ale zanim: w totalnym skupieniu, na wstrzymanym oddechu dokonywał jakichś wyborów, odpowiadał sobie na pytania, które do mnie nie

docierały. Śledząc linię deski i kłapy, rozpatrywał zagadnienia, co na zawsze pozostaną poza moim zasięgiem, były, są i będą dla mnie niedostępne, jak krajobraz za horyzontem, jak umysł psa czy otwarty pyszczek chomika. Jak się wobec tego ustosunkować? Jak się odnieść, jakie zająć stanowisko? Nie mówię o kolczastej kuli wiszącej nad porcelitową muszlą ani o przepychaczu z nieheblowaną rączką, lecz o całym zajściu, generalnie. O mnie i o tym być może niewidomym facecie, który przez pół godziny lampił się na kłopy. O zmierzchu w Nowym Sadzie późną jesienią na ulicy Temerinskiej.

Świat jest zadziwiający. Coraz to inaczej o coś mnie pyta, ale to coś chyba się nie zmienia. Zmieniają się tylko poszczególne sceny. Biegłem po kasę, chciałem na czas uregulować rachunki, ale nie zdążyłem. Nigdy nie nadążam. Ciągłe wyprzedzają mnie zdarzenia, których nijak nie rozumiem, choć wiem, że są zagabnięciem. Ciągną mnie za rękaw i mówią: „Zobacz!”, a ja patrzę i nie pojmuję. To jest jak blade olśnienie, odbłask, odbicie, bek niewidzialnego. Krótkie echo. A potem świadomość, że znowu uciekło. Tak jak dzisiaj. Gazda przyjechał wcześniej i za zwłokę naliczył mi odsetki. „Ostatni nigdy nie będą pierwszymi”, powiedział. „Pierwsi zawsze są ostatni”, pomyślałem. Bo są tylko ostatni.

Teraz to spłacam.

„Gdzie powiedziane, że należy się nam ziemia-oblubienica,  
Abyśmy zanurzyli się w jej rzekach głębokich i czystych  
I płynęli, żyznymi prądami niesieni?”.

Czesław Miłosz

„Tymczasem to człowiek się spala, a świat wciąż kwitnie”.

Béla Hamvas

Kierkegaard i Nietzsche jadą z północy na południe, do Włoch. Szukają dla siebie klimatu. Najpierw, jeszcze w wyobraźni, żywią nadzieję, że zobaczą kraj kontrastu ostrego jak filozofia, która trafia w sedno rzeczy, kraj mocnego słońca i bielonych wapnem domów o czarnych ramach okien. W podróży ta prostota okazuje się złudzeniem. Oczekiwany dramatyzm pejzażu rozmywa się już na samym początku, tuż za granicą, w górach. Pod gradem szczegółów: nieregularnych garbów wzgórz, dziko szarpanych stromizn i karbowanych pochyłości, wśród ciągłych zmian rytmu, nagłych urwisk i skalnych wyłomów, między kanciastymi wgłębieniami i wypukłościami, których raptownych przeobrażeń nie sposób opisać, w nieprzebranych stosach siwych piarżysk, pośród łusek potoków i lasów nienazwanych drzew gubi się ich rozum, nie ma już desygnatu, a jest wrogi obiekt. Zastana rzeczywistość rozmija się z założeniami. Wraz z upływającym czasem napływa krajobraz, tłoczy się i kłębi w oku, i niepohamowanie komplikuje sytuację. Wszystkiego jest coraz więcej i więcej, aż po całkowitą utratę kontroli. Or-



ganizmy filozofów nie przyswajają Południa, odrzucają je jako truciznę. Na końcu Duńczyk dostaje rozstroju żołądka, a Niemiec słabnie. Kierkegaard zrywa kontakt ze światem Sycylii i nie je, Nietzsche zaś odchorowuje odurzenie Śródziemnomorzem, całe dnie spędzając na sofie w zacienionym pokoju hotelu w Sorrento. Kiedy indziej, też na Południu (choć nie dla Włocha, dla Włocha to Północ), na Piazza Carlo Alberto w Turynie dostaje obłędu, wariuje z litości. Będąc

świadkiem nieludzkiej chłosty, jaką kuczer wymierza swojemu koniowi, traci zmysły. Dla niego zwierzę, które cierpi, to więcej niż człowiek. Dlatego już nigdy nie dochodzi do siebie. Przez Alpy, tę granicę światów, przebiera się do Bazylei, a potem dalej do Niemiec. Podobnie jak Kierkegaard cierpi na hipertrofię rzeczywistości, która – natarczywsza i dotkliwsza niż na Północy – nie udziela się w małych dawkach, ale od razu, jednym chlustem. Na Południu Hiperboreje nie znajdują miejsca dla swojej apolińskiej natury. Jeden wraca do Kopenhagi, a drugi do Weimaru. Tu umierają.

Zagajewski i Herbert jadą z północy na południe, do Włoch. Szukają dla siebie klimatu. Zagajewski odwiedza okolice Lukki w Toskanii i liguryjskie Bocca di Magra, Herbert – Orvieto i Sienę, nieustannie myśli też o Rovigo. Poeci, oglądając bujne życie Italii, patrzą w siebie. To, co widzą, wcale nie przerasta ich oczekiwań. Bez wahania dają się porwać namiętnościom, nie tracąc przy tym ani głowy, ani języka. Garściami biorą z palety kolorów, smaków, kształtów i dźwięków, by później z kunsztem rzemieślników Cesarstwa Japonii wycisnąć z nich czyste piękno. Pali ich żarłoczne pragnienie, chłoną więc łapczywie sute dobra antyku i renesansu, wszystkimi zmysłami kielznają erupcję podniet, a ekstatycznym opisem rezonują nadobfitością wrażeń. Dionizyjsko się ekspensują, a gdy ogarnia ich wyczerpanie, z ulgą padają w cień hożej przyrody, pod drzewa ogrodów i sadów. Leżąc, upajają się latem i zachły-

stują owocami: pękatymi oliwkami, dojrzałymi pomarańczami, nabrzmiałymi winogronami, które – w odróżnieniu od Nietzschego i Kirkegaarda – przełykają i trawią. A strawić, zjeść to znaczy zapisać, nauczyć się, wzmocnić przez oswojenie. Tak pokrzepieni zasypiają w pełnym szczęściu, by później, po przebudzeniu w północnej szarudze Krakowa, Warszawy, w niedowładzie piękna tęsknić za ojczyzną słonecznego święta. Na razie jednak śnią, a nad ich snem z pękniętej włoskiej majoliki świeci płomieniem zaczerpnięty papier.

24 września 2013, Nowy Sad

By był podróżą, musi mieć punkt wyjścia. Tylko gdzie go znaleźć? Zzz... Jeszcze nie na kacu i już nie w upiciu wstaje, choć w zasadzie dopiero co się położył, jest szósta wieczorem, za oknem mrok, zimno, obrzękły księżyc w nimbie wyciętym z nocy, goły otok w ciemnym morzu, tak, bo to zaczyna się w Jugosławii, byłej, rzecz jasna, dlatego już po nocy, po przerwie w dostawie światła, opuchlizna ustępuje, kurczy się w lustrze wschodzącego słońca, mgła ćmi pierwszą jego wiecheć, zaraz wyruszysz, przecież miałeś szukać, jak to?, jak?, już nieci się brzask, nieci cię libido kac, kudłaty jak sławetne łono Johna Coxa wznosi cię poranek, chcesz być leniwy, drzwi są otwarte, a przeciągi wolne, ale trzeba gnać, w kuchni nad stołem mansardowe okno, na szkle czerni się ptasie guano, bieleją płaskie kratery księżycy, to pomarszczona mapa z głowy Gorbaczowa, z czasem wszystko się wyjaśni, marzysz, guano wyschnie, miesiąc zajdzie za kadr i zniknie albo zasnuje go stratus, tło nie zmieni koloru, zostanie w granacie, miną zaburzenia, tymczasem ziew nieba, zbierają się myśli, szare komórki wyteżają chmury, z czoł kapią im krople, deszcz nad kuchnią, pot na mansardowym oknie, a tu iść trzeba, wychodzić, szukać punktu wyjścia, najpierw nad rzeką moknąć, na linii 11A, jak przecinek przy znaku przystankowym, i stać, i zlać się w jedno, z prądem pod światło patrzeć, jak Dunaj we mgłach bije śmietaną swej wody, a potem, już w ulewie, jechać, wyjechać z tego kraju, pociągami na Węgry, w kąt mapy, na Nyírség, w dolinę nie z tej rzeki, zmieniać miasta, na Mátészalkę,

na Záhony, na Czop, tam gdzie nikt nie woła, nikt nawet nie szepcze, w ten róg, gdzie w dół zakręca Cisa, gdzie mokradła i w ciągłości jesień, płaskość, z ziemi w kształcie czołen sterczące nagrobki, i dalej tylko pieszko, pieszko i powoli, brodzić przez kałuże aż do Užhorodu, w nocy, w trampkach, w oberwaniu chmury, w brunatnej szarudze, wzdłuż fabryk, klapać gumowymi podszwami o wilgotny asfalt, szukać



tego punktu, z rodziną daleko, tulić się do dworców, do przygodnych stacji, budynków z obłazącą ochrą, przystanków sprowadzonych do jednego słupka, znaków, średników, najmniejszych kropeczek dotykać zgrabiętymi dłońmi, chropowatą skórą rozkładów porwanych na wietrze, w słocie, w skisłej kurtce, tulić metal, byle nie językiem, nogi chować w pustawych śmietnikach, gdzie na dnie papierki, papierki i pety, kochać na odległość, przy zmarniałych klombach, libido zamienić w zmęczenie, przeżyć szóstą, wiele takich szóstych, póki w międzyczasie, mimo że go nie ma, póki w międzyczasie z Chorążówki nie przyjdzie esemes, przyśle go Mamerka: „Siedzę przy ciepłym kominku, a ogień pięknie mruga jak żywy”. Dobry dym łasi się do nóg. Gdzie cię to zastanie? Półprzytomnego, z głową pod kaloryferem na dworcu w Kisvárdzie. O 23:23 otworzysz wiadomość, 11A dojedzie na pętlę, i zrobi się miło, zejdą opuchlizny, po przerwie w dostawie zapali się rozum i sens, zaczną grzać grzejniki. Wtedy dzień się skończy i to będzie w łóżku, nawet gdyby było twardą ławką albo jedyną czynną speluną z *borsodi*, lotkami, bandytą bez ręki. Z żulem w Debreczynie, jak ty do tej pory. Pod ciemną gwiazdą przyjmiesz tę wiadomość. Na Zakarpaciu, blisko Nyíregyházy. Ale się rozgwieździ. I będzie podróżą. Szósta będzie rano, dzień życia, a miesiąc księżyca.

Potrzebne są esemesy.

25 października 2013, Nowy Sad

## bracia czescy

„(...) są dwie ludzkie twarze: jedna Hrabala, druga Wojtyły”.

Ottó Tolnai

„Źle spałem tej nocy, pogrążony w delirium, co tu dużo gadać, albo to człowiek przewycięży, albo ugnie się, ugnie pod ciężarem... Ja przewyciężyłem, zostałem wskrzeszony, doszedłem na chwiejnych nogach po piwo...”, mówił Bohumil Hrabal w Kersku 11 lutego 1995 roku, a Egon Bondy słuchał.

W filmie *Rok diabła* zniknął Karel Plíhal. Jaromír Nohavica zdumiony wsłuchiwał się w to zniknięcie. Bolało go, i choć odejście Plíhala miało anielski czar, nijak nie mógł znaleźć dla niego usprawiedliwienia. Bolał go brak człowieka, nie anioła.

Myślę, że ta czeska sekularyzacja życia, piwne wskrzeszenie i tęsknota za człowiekiem w jego doczesnym układzie odniesienia mogłyby być dla Polaków pouczeniem. Szczęśliwe po czesku życie wcale nie jest pozbawione metafizyki. Przeciwnie, nabiera ona dodatkowej jakości – mocy piwnego oddechu. Nie jest metafizyką migoczącą gwiazdami ze sklepienia kościoła Mariackiego, lecz metafizyką skrzących serdecznością oczu. Radość życia świadczona przez Hrabala i Nohavicę zajmuje i przekracza sensualną atrakcyjność, zdaje się jedyną pełnią, na jaką nas stać w obliczu niepoznawalnego Boga.

A może On wtedy z ulgą się uśmiecha, bo widzi, że nikt go nie szarpie za palec u nogi, nie łuszczy z niego naskórka na relikwie, nie zrywa paznokci, by jako oręża i tarcz użyć między ludźmi w imię Jego, a jednak przeciw Niemu. Bo człowiek nie zna Boga, tylko wymyśla Go sobie na swoje podobieństwo.

Hrabal tymczasem odświętnie, ale bez nadętej wzniosłości dźwiga się po następne wiaderko albo przynajmniej niedopitą butelkę nymburskiego piwa, które wierni zostawili na jego grobie niedaleko Kerska.

26 października 2004, Nowa Huta

## złot (sen prawej półkuli)

<https://instagram.com/p/3MkMj8QcPx/?taken-by=lukaszgrzesiczak>

Podczas marszu kobiet w galerii trwa wystawa. Zachodzę niechętnie jak emancypantka w ciążę. Pod ścianą w rzędzie stoją popiersia mężczyzn z wysoko podniesionymi rękoma. Ich główki są niewspółmiernie małe, ramiona – przerośnięte, masywne, umięśnione, przypominają nogi. Ta równoczesna akromegalia i mikrocefalia przyprawia mnie o zgrozę, a jednak nie mogę oderwać od nich wzroku. Mam przed sobą szereg skazańców, którzy pogodzili się ze śmiercią, ale nie z napięciem jej wyczekiwania. Zbroją się w niecierpliwość i jeśli oprawcy zaraz nie pociągną za spust, sami eksplodują z przerażenia. Chcą już mieć to za sobą. „No, oszczędźcie nam cierpienia”, straceńczo proszą ich gładkie twarze bez wyrazu.

A kimże są kaci?

Kiedy raz jeszcze, od pępek aż po czubki palców, przemierzam wzrokiem te postaci, doznaję oświecenia: zamiast dłoni mają stopy podolskich złodziei. Odwracam spojrzenie, patrzę na nie do góry nogami. Rzeczywiście! Toć to nie popiersia, a popasia. Niezłe jaja! Rząd przypartych do ściany połówek facetów, postawionych na opak tułowi i sterzących ku niebu kulasów w roli ramion, których ogrom woła o litość do ziemi. Natomiast szpilkowate główki to struchlałe jąderka. Jednym strzałem zaraz unicestwi je kobieca ręka.

Oto dokąd zawędrował niewieści pochód wyzwolenia. Pod mur. Lecz nie skanduje już *Hände hoch!*, a *Beine hoch!* – nogi do góry. (Fuj! To westchnienie znane ze starych VHS). Już nie kulka w łeb, teraz kulka w krocze. Nuże, obuchem wałacha w wytrzebiony punkt! Ten czarci pomiot, to zło. Złot czarownic, żaden tam marsz sufrażystek.

Freud i Fellini płaczą ze śmiechu.

Ptaszek terlika ze strachu.

27 maja 2015, Budapeszt

## polski, pacjent (in such a night...)

W szpitalu dano mu kroplówkę, ciało oczyszczono z toksyn i flegmy. „No, dostałeś pan w bonusie dwa dni życia”, powiedział lekarz, nawiasem mówiąc, redaktor w lokalnym piśmie literackim. „Ciesz się pan ży...”, urwał, żeby się nie powtórzyć. Przecież był literatem, to zobowiązuje. Od lat dręczyła go jednak zmora błędów stylistycznych, których – ile razy wkładano mu to do głowy na kursach kreatywnego pisania UJ – należy wystrzegać się jak śmierci. A może „jak śmieci”? Nie pamiętał. Obrócił się więc na pięcie, bąknął: „Życzę zdrowia” i szparkim krokiem (tak właśnie o nim pomyślał: szparki) wyszedł do swojego gabinetu, gdzie potem do późnych godzin nocnych przeglądał notatki z zajęć.

Niestety, odpowiedzi na nurtujące go pytanie nie znalazł – porównanie pozostało tajemnicą – ale za to trafił na zdanie, które zabiło mu nowego ówieka. Brzmiało tak: Tylko błędy są żywe. Lekarz długo dumiał nad nim z ołówkiem w zębach, aż do świtu patrząc przez okno poza rzednący mrok. Dopiero o szóstej rano zrozumiał, co to znaczy. Olśnił go biały dzień. Pobiegł do sali chorych, wpadł do środka i przywarował u nóg pacjenta. „Masz pan w bonusie dzień życia. Ciesz się życiem!”, wysapał w gorączkowym pośpiechu, lecz było już za późno. „Umarł w butach”, pomyślał – choć człowiek był bosy – i poszedł napisać o tym wzruszający sonet o rymach: *oiom oiom oiom ee*.

Na końcu z pościeli wystawały dwie metryczne stopy.

28 stycznia 2016, Bańska Bystrzyca



## klatka z odpustu

Na ulicy Cyryla i Metodego, tam gdzie Węgrzy mylą się z Serbami, a Albańczycy z Romami, gdzie ani miasto, ani wieś, czekam na autobus. Właśnie w sklepie pod numerem 119A kupiłem piękną seledynową klatkę na zające, a w zasadzie na królika, który nazywa się Федя. Jak Dostojewski. Jest puszysty i śnieżnobiały i wszędzie zostawia te swoje czarne bobki. Syberyjski niedźwiedź i KGB-owskie pluskwy – takie wywołuje u mnie skojarzenia. Lubię przesadzać, w końcu jestem z Polski. Tak naprawdę, jaki tam z niego niedźwiedź, jakie KGB. Filigranowe, płochliwe stworzenie. Pupilek. Przypadł mi do serca, mimo że za każdym razem, kiedy biorę go na ręce, robi kupę i siku. Więc może jednak Rusek? Федя Raskolnikow, królik o wielu obliczach. Imię wymyśliliśmy mu po tym, jak Dragana, wylosowawszy pytanie ze *Zbrodni i kary*, zdała na dziesiątkę egzamin z literatury rosyjskiej. Był wtedy z nami dopiero jeden dzień, dlatego uznaliśmy, że przynosi szczęście. Wczoraj z kolei, kiedy tą samą ulicą Cyryla i Metodego łąziłem wte i wewte, szukając pet shopu, Draganie udało się zaliczyć scs. Przez cały czas trzymałem zaciśnięte kciuki i nabożnie sylabizowałem wszystkie napotkane cyryliczne napisy. Przy każdym niemal przykłękałem. Федя, pod jej nieobecność pętając się samotnie po pokoju, na pewno robił to samo. A potem, wieczorem, trochę nabroilem i dlatego dzisiaj wybrałem się na przedmieścia szukać odkupienia. Pomyślałem, że jak znajdę piękną seledynową klatkę, dostanę rozgrzeszenie. I jest. Leży obok mnie na metalowej ławeczce pod wiatą i razem

MAŁE

95

PROZY



ze mną czeka na autobus, który, jak to w czyścicu, długo nie przyjeżdża. Na przystanku stoi jeszcze smagłolica kobieta z przebojowym nosem i włosami spiętymi spinką. Nosi czarny płaszcz. Skądś ją znam. Przypomina Marię Magdalenę Lawrence'a Almy-Tademy. Ciekawe, czym ona zawiniła. Ma około pięćdziesiątki, ale z jej oczu bije moc i bystrość dwudziestolatki. Chyba zbyt natarczywie się przypatruję, bo w końcu spogląda na mnie i zawstydzony muszę odwrócić

wzrok. Po chwili podchodzi dwóch chłopców w dresach: jeden w jasnych lśniących, drugi w czarnych matowych, i jak jeden mąż zapalają papierosy. W oparach dymu wyglądają na ocalałe z pogromu podrosłe niewiniątka. „Wszyscy jesteście bezgrzeszni!”, podjudza mnie diabeł, lecz zbywam go milczeniem. Stoimy i patrzymy na różowy domek na przeciwko, który drugim piętrzem wyrasta ponad niską zabudowę osiedla. Wygląda jak landrynka obrośnięta kurzem. Na podwórku między bramką a wejściem walają się stopy plastikowych zabawek. Tylko dzieci nie widać. Wzdłuż frontu wiszą niekończące się girlandy śpioszek, rajstopek i pieluch. Być może oplatają cały dom. I to kilkakrotnie, bo jest tego kilka warstw. Herodzie, ile duszyczek kryje się w tych murach? Za rzędem pękatych tralek z gipsu pyszni się egzotyczny taras z uschniętą palmą. Szczyt fasady wieńczy styropianowy herb: dwa wspięte konie odwrócone do siebie łbami. Jeruzolima i Lesotho! Witamy w dzielnicy Telep. Wreszcie przyjeżdża szóstka. Jest całkowicie wypełniona Cyganami z Adic. Wchodzę w ten ścisk jak nieproszony żal do duszy – myślę, prawdę mówiąc, trochę inaczej, ale wolę tego nie pisać. Przecież pragnę odpuszczenia grzechów, a nie pogrzebacza w okrężnicy. Kiedy jestem już w środku, przezorność nakazuje mi wszystkich przeproszać. Robię to na zapas i nader wylewnie, żeby nikogo, broń Boże, nie pominąć i nie ściągnąć na siebie gniewu narodu wybranego. Mimo tłoku panuje tu powszechna beztroska. Hurra w lepsze czasy! Cyganie jedzą jabłka, zastępy dziatwy sie-

dzą starcom na kolanach, ktoś wiezie drzewo żywiczne, ktoś warchlaka. Moja obecność nikomu nie przeszkadza, jakbym był niewidzialny. Tylko jakiś dziadek z zainteresowaniem wpatruje się w moją piękną seledynową klatkę. Porusza ustami, ale nic nie słyszę. Nachylam się do niego i widzę, że w szyi ma nacięcie, z którego wystaje rurka. Jeszcze raz wciąga powietrze i wypuszcza z niej świszczący szept: „Dla kogo ta klatka?”, pyta, a gwar w autobusie ucicha. „Dla króliczka”, odpowiadam przymilnie. Dziadek o czole gładkim jak materia pierwszego dnia stworzenia wywija ironicznie wargi, bierze głęboki oddech i już nie świszcze przez rurkę, a gwizdże: „Chyba dla ciebie, jak będziesz niegrzeczny”. Po szóstce roznosi się donośny śmiech. Cygańskie plemię, mijając dzielnicę Satelit, wchodzi na orbitę zaraźliwej wesołości. Na mojej twarzy rumieńcem zakwita katharsis i zaraz dostępuję rozbawienia. Śmieję się razem z nimi. Staruszek teatralnie kiwa palcem, a ja zamaszystym gestem otwieram klatkę, pakuję w nią łepetynę i w ramach pokuty pokornie potakuję. Ta podróż to droga do raj. Wysiadam na Futońskiej i idę przed siebie, nie odwracając głowy, choć czuję, że z tyłu wszyscy na mnie patrzą. Wymachując rękami, wchodzę do jasnego parku i w klatkę na zające, w którą sam wpadłem jak Jonasz we wnętrze wieloryba, łapię potężne porcje świeżego zimowego światła.

29 stycznia 2013, Nowy Sad

„Twoje gadanie nic nie zmieni”, powiedział Andrzej może do radia, z którego zachrypły głos mówił „wiało, wiało bezustannie”, a może do mnie, bo przez dłuższy czas nie zamykała mi się jadaczka.

Kończył się lipiec i właśnie minęliśmy Kecskemét. Klimatyzacja nie działała, okna były pootwierane, ale wcale nam to nie pomagało. Próbowałem obrócić wszystko w żart, lecz zamiast obniżyć, tylko podnosiłem temperaturę. W końcu Andrzej pogłośnił audiobook i zamilkłem.

Słońce stało w zenicie, z nieba lał się żar, nad asfaltem wisiały kałuże powietrza. Jechaliśmy na południe. Czterdzieści stopni w cieniu, nie wiadomo, skąd wziąć tlen, a facet z głośnika powtarza „wiało, wiało bezustannie”, jakby wierzył, że odmieni rzeczywistość.

A przecież nie mógł nic. Wobec skwarne lata jego jesienne słowa były dziecięco bezradne. Sosisty zaduch ani drgnął pod ich ciężarem, ich siła nie wywołała najmniejszego nawet podmuchu. Charczał o wietrze, lecz wszystko pozostawało bez zmian. Ubrania kleiły się do ciała, a ciała do siedzeń.

„Weź to wyłącz! Jak nie urok, to sraczka”, jęknął w końcu ktoś z tyłu i Andrzej wysunął płytę.

Automatycznie wskoczyło radio, jakieś egzotyczne rytmy. Tropikalna muzyka na tropikalną aurę. Co za ulga. Poczuliśmy, jak myśli wracają na swoje miejsca i świat zaczyna się zgadzać. Ten z piosenki pocieszał, że za chwilę będzie basen i chłodne napoje.

„To rozumiem”, rozchmurzył się Andrzej jak ktoś wyprowadzony z samotności. Przycisnął pedał gazu i za moment byliśmy pod Szegedem.

„Co może literatura?”, rzuciłem ot tak, bez wiary w odpowiedź.

„Nic, przecież już ci mówiłem – uciał. – Za dwadzieścia kilometrów będzie granica. Zatrzymamy się, kupimy coś do picia i wyślemy widokówki. Niech deszczowa Polska usłyszy nasze gorące życzenia południowego słońca, he he!”, zarechotał i spojrzał w moją stronę.

Z jego oczu wiało chłodem *Schadenfreude*.

pamięci Martina Lončáka

Trzydziestego pierwszego maja 2012 roku po blokach w róż sływały beże płyty wysadzone kamyczkami wyglądały bardzo głęboko chropowata faktura wzmocnianego betonu była bogata arcybogata a światło zachodu miłe pary robiły sobie spacerzy trzymały się za ręce ja też stamtąd wracałem z tego



osiedla gdzie wystrzają się granice i samotność bez barier  
czułem ciepło takie ciepło że wydaje się jakby w mieście  
nie było bezdomnych rozumiesz kwitła miłość i jakaś roślina  
wonna w sumie nikt by tego nie opisał bo to było nie do opi-  
sania i nawet rysa nad horyzontem nic nie zmieniła choć nie  
powiem była wyjątkowa takie pęknięcie na rumianym skrzy-  
dle wieczoru zadra w poprzek łagodnego gradientu a to po  
prostu daleko leciał samolot wniebowzięło mnie przyspie-  
szyłem kroku byle nie zapomnieć byle zapisać byle ble pa-  
miętasz sam tego próbowałeś na pamiętkę na wieczną takie  
skurcze a teraz się śmiejesz nie śmieję się chcesz coś powie-  
dzieć co mówisz\* bez? ale bez czego jakie owce jakie hiaty  
a potem nagły zmierzch wpadłem do pokoju firanka smyrgnę-  
ła mi na twarz łokciem strąciłem szklankę cicho tylko kliknię-  
cia. I przyszedł ten mail. Ale Skype mówił coś innego.

W prawym dolnym rogu do dziś wyświetla mi się, że zaraz

wracasz. Więc jesteś.  
Pytanie tylko: gdzie?  
Albo lepiej: dokąd?

31 maja 2012, Nowy Sad

---

\* To był czarny bez, czarne owoce i białe kwiaty – mówisz.

Miłosz Waligórski (ur. 1981 w Bydgoszczy) – sławista, hungarysta. Przekłada ze słowackiego, węgierskiego i języków południowosłowiańskich. Opublikował dwa zbiory poetyckie: *36 sposobów na pustkę* (2012) i *32 ślady ku* (2015) – oraz tom prozy *Kto to widział* (2016).

Anna Waligórska (ur. 1979 w Bydgoszczy) – malarka, zajmuje się malarstwem sztalugowym, ściennym i witrażem, a także projektowaniem. Wystawia w kraju i za granicą. Ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Gdańsku, gdzie obecnie pracuje.

Štúrovo, czerwiec 2016



wydawca: Akademia Sztuk Pięknych w Gdańsku



AKADEMIA  
SZTUK  
PIĘKNYCH  
W GDAŃSKU

copyright: © Anna Waligórska (obrazy), © Miłosz Waligórski (tekst)

obrazy z cyklu „Małe prozy” (18 x 18 cm; gwasz, akwarela na papierze)

powstały w Bańskiej Bystrzycy i w Rodowie w czerwcu i w lipcu 2016 roku.

projekt i opracowanie graficzne: Edyta Majewska

redakcja i korekta: Joanna Pomorska

druk: totem.com.pl

patronat medialny



ISBN : 978-83-65366-18-4